

BETTY NEELS

**Pocałunek
pod jemiola**

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Był deszczowy październikowy wieczór; po wąskich, zaniebanych uliczkach londyńskiego East Endu wiatr rozwiewał strzępy gazet, puste puszki i papiery. Przynosił je również na szeroki podest masywnego, starego szpitala górującego nad okolicą. Ale drzwi były zamknięte, wewnątrz zaś panowała cisza i porządek. Było tu ciepło i przytulnie, a w powietrzu unosiła się woń środków dezynfekcyjnych, pasty do podłóg oraz kolacji właśnie rozwożonej do szpitalnych sal. Takich zapachów nie czuło się we wspaniałych, nowoczesnych szpitalach, gdzie na pacjentów czekały kwiaty, kawiarnie oraz tablice informacyjne, tak wyraźne, że nawet głupi mógł je zrozumieć.

St Luke nie należał do nowoczesnych szpitali; miał dwieście lat i przeznaczony był do likwidacji. Zresztą ludzie odwiedzający ten przybytek nie przychodzili tu, by podziwiać kwiaty. Kierowali się, zgodnie ze wskazówkami umieszczonymi na ścianach, albo na fizykoterapię, albo do pracowni rentgena, a gdy już tam dotarli, siadali na drewnianych ławkach w poczekalni i gawędzili z przypadkowymi sąsiadami. To był ich szpital, czuli się tu jak w domu; długie, mroczne korytarze, staroświeckie windy i nie kończące się klatki schodowe nikomu nie sprawiały kłopotów.

Nie przysparzały ich także Ermentrudzie Foster, spieszącej na ostatnie piętro, by dostarczyć pilną wiadomość. Sekretarka profesora Mennolta wyłoniła się ze swego pokoju akurat w momencie, gdy Ermentruda po całym dniu pracy w szpitalnej cen-

trali telefonicznej była również gotowa do wyjścia, i poprosiła o dostarczenie profesorowi pilnych papierów.

- Och, już jestem spóźniona - mówiła gorączkowo sekretarka. - Umówiłam się ze swoim chłopakiem. Idziemy na ten nowy film...

Ermentruda, która nie miała przed sobą perspektywy ani randki z chłopakiem, ani filmu, zgodziła się bez sprzeciwów.

Profesor Mennolt siedział przy biurku zagłębiony w papierach; na wydatnym nosie miał okulary. Znany neurolog przebywał w St Luke na specjalne zaproszenie, by podzielić się z tułtejszymi studentami i lekarzami swą wiedzą na temat leczenia pacjentów cierpiących na ciężkie schorzenia neurologiczne. Całkowicie pochłonięty lekturą artykułu o dystrofii mięśni, machinalnie odpowiedział „proszę” na pukanie do drzwi i przez moment nie podnosił wzroku.

Ermentruda, lekko zakłopotana, wsunęła głowę przez drzwi. Profesor spojrział na nią w roztargnieniu. Zobaczył sympatyczną, choć niezbyt ładną twarz, o lekko zadartym nosie, dużych oczach i szerokich, uśmiechniętych ustach.

Otworzyła szerzej drzwi i podeszła do biurka.

- Panna Crowther prosiła, bym to panu przyniosła - wyjaśniła swobodnie. - Była z kimś umówiona i chciała szybciej wyjść do domu...

Profesor zerknął na stojącą przed nim niedużą, krągłą, ale zgrabną dziewczynę i znów popatrzył jej w twarz, zastanawiając się, jakiego koloru włosy schowała pod chustką...

- A pani, panno...? - Urwał i uniósł brwi.

- Foster. Ermentruda Foster. - Uśmiechnęła się do niego. - Prawie tak samo trudne jak pańskie, czyż nie? - Poczuła na sobie lodowate spojrzenie niebieskich oczu. - Mam na myśli nasze nazwiska - wyjaśniła, na wypadek gdyby nie zrozumiał.

- Pracuje pani w szpitalu? - spytał, odkładając pióro.
 - Tak. Jestem telefonistką. Czy długo pan u nas zostanie?
 - Nie sądzę, by długość mojego pobytu w Londynie mogła panią naprawdę interesować, panno Foster.

- Chciałam tylko powiedzieć... że musi pan czuć się trochę samotnic - odparła z uprzejmym uśmiechem. - Prawdę mówiąc, chciałam pana zobaczyć. Tyle o panu słyszałam...

- Czemu mam przypisać to zainteresowanie?

- Wszyscy mówią, że jest pan bardzo przystojny i wcale niepodobny do Holendra... - Urwała, ponieważ jego oczy stały się lodowate.

- Panno Foster - powiedział spokojnie - myślę, że powinna pani już pójść. Mam mnóstwo pracy. I proszę powiedzieć pannie Crowther, by w przyszłości sama załatwiała moje sprawy.

Pochylił się nad książką i ostentacyjnie nie odrywał od niej wzroku.

Ermentruda zamknęła za sobą drzwi. Nadal pogrążona w myślach o profesorze wyszła z budynku i dołączyła do kolejki oczekujących na autobus. Przystojny mężczyzna, przyznała w duchu. Siwiejący blondyn o wspaniałym, szlachetnym nosie, wyrazistych oczach i stanowczych ustach - być może trochę zbyt wąskich. Nawet gdy siedział za biurkiem, sprawiał wrażenie bardzo wysokiego mężczyzny. Był jeszcze całkiem młody. W gruncie rzeczy szpitalne plotkarki niewiele o nim wiedziały...

Odwróciła się i zerknęła przez ramię; na ostatnim piętrze w gabinecie profesora paliło się światło. Westchnęła. Nie polubił jej... To zresztą było całkiem zrozumiałe. Zwracano jej już uwagę, że nie odnosiła się do swych zwierzchników z należnym szacunkiem i dystansem. Ale te uwagi nie zmieniły jej bezprezycyjnego, przyjaznego nastawienia do świata.

Urodzona i wychowana w Somerset, małej, prowincjonalnej

mieścinnie, gdzie wszyscy mieszkańcy się znali, nie potrafiła zaakceptować faktu, że londyńczycy z reguły nie zwracali uwagi na innych ludzi. Znów pomyślała o profesorze, w dodatku cudzoziemcu, siedzącym tam, daleko od swoich rodaków...

Profesor Mennolt, całkowicie zadowolony ze swego losu i wcale nie czujący się samotnym cudzoziemcem w Londynie, poprawił na nosie okulary i skupił uwagę na czytanim tekście. Zdążył już całkowicie zapomnieć o Ermentrudzie.

Ermentruda wysiadła z zatłoczonego autobusu i po pięciu minutach marszu dotarła do jednego z szeregowych domów położonych przy zaniedbanej uliczce. Otworzyła frontowe drzwi, a potem z okrzykiem „To ja!” weszła do pokoju swej matki.

Starsza kobieta siedziała przy małym stoliku i robiła na drutach. Nie przerywając pracy, podniosła wzrok i się uśmiechnęła.

- Witaj, Emmy. Kolacja czeka w piekarniku. Ale może najpierw masz ochotę na herbatę?

- Sama zaparzę. Czy był list od ojca?

- Tak, leży na kominku. Miałaś pracowity dzień?

- Tak sobie.

Emmy zdjęła płaszcz i poszła do kuchni. Pomieszczenie było małe, urządzone staroświecko. Na półkach stało kilka sztuk dobrej porcelany. Właściwie to wszystko, co pozostało z ich starego domu, pomyślała, ustawiając na tacy spodki i filiżanki.

Gdy jej ojciec uczył w szkole w Somerset, mieszkali w pobliskiej wiosce w dużym, starym domu z wielkim ogrodem i bajecznymi widokami. Ale ojciec stracił pracę i musieli dom opuścić. Przenieśli się do Londynu do niedużego domku, który pozostawiła im w spadku ciotka. Jeden z kolegów pomógł ojcu znaleźć pracę w Londynie. Ale praca była słabo płatna, pani

Foster zaś rychło odkryła, że życie w Londynie jest o wiele droższe niż na prowincji.

Emmy, przyglądając się zmaganiom matki z rachunkami, porzuciła zamiar kształcenia się w kierunku artystycznym, do czego miała niewątpliwy talent, ponieważ pięknie malowała i haftowała, i podjęła pracę w centrali szpitala St Luke. .

Oczywiście, nic miała żadnego doświadczenia. Jej atutem był jedynie przyjemnie brzmiący głos. Przeszła tygodniowe szkolenie, potem zatrudniono ją na miesiąc, wreszcie na stałe. Nie było to jej wymarzone zajęcie, ale pocieszała się, że zmieni zawód, gdy tylko ojciec znajdzie lepiej płatną pracę.

Przygotowała herbatę, nalała na spodeczek mleka dla kota, poczęstowała ciasteczkami wiernego George'a, starego ogara, i zaniósła tacę do saloniku.

Pijąc herbatę, przeczytała list od ojca. Pracował w charakterze inspektora szkolnego i nie było go w domu od tygodnia. Pisał, że wróci do domu na weekend, ale proszono go, by jeszcze przez co najmniej miesiąc zastępował kolegę. W takim przypadku pani Foster mogłaby do niego dołączyć.

- Mamo, to wspaniale! - zawołała Ermentruda. - Ojciec nie lubi przebywać z dala od domu, ale gdy ty będziesz przy nim, z pewnością wytrwa. A wtedy, jeśli będą z niego zadowoleni, być może dostanie lepszą pracę.

- Nie mogę zostawić cię tutaj samej.

- Oczywiście, że możesz, mamo. Snoodles i George dotrzymają mi towarzystwa. Mogę wracać do domu na lunch i wyprowadzać George'a.

- No, nie wiem... - wahała się pani Foster. - Na myśl o tym, że zostaniesz sama...

Emmy dolała herbaty.

- Jeślibym pracowała w innym mieście, przecież też mieszkałabym sama, prawda? A poza tym mam już dwadzieścia trzy lata.

- Porozmawiamy o tym podczas weekendu - postanowiła pani Foster.

Następnego poranka przy śniadaniu przyznała córce rację. Powinna dołączyć do męża, przynajmniej na jakiś czas.

- No cóż, wracasz do domu przeważnie o szóstej, gdy jeszcze jest widno - rozważała. - Poza tym będziemy przyjeżdżać na weekendy.

Emmy w przyszłym tygodniu miała mieć dyżury na nocnej zmianie, ale nie zamierzała przypominać o tym matce. Wyszła z domu w dobrym nastroju, zadowolona, że przestało padać i zapowiadał się pogodny, jesienny dzień.

Jak zawsze w piątki, miała mnóstwo pracy. Było prawie południe, gdy jakaś kobieta mówiąca z silnym obcym akcentem poprosiła do telefonu profesora Mennolta.

- Chwileczkę, postaram się go znaleźć - powiedziała uprzejmie Emmy. Jego żona, pomyślała. Co za nieprzyjemny, wyniosły głos... W myślach dopasowała głos do osoby: szczupłej, wysokiej i pięknej, ale przede wszystkim bardzo apodyktycznej.

Profesora nie było w gabinecie ani na żadnym z oddziałów. Gdy na moment przerwała poszukiwania, by poinformować kobietę, że musi chwilę poczekać, usłyszała w odpowiedzi, by się pospieszyła. Wreszcie znalazła profesora w laboratorium patologicznym.

- O, tu pan jest!-ucieszyła się Emmy, całkiem zapominając dodać „profesorze”. - Telefon do pana. Czy mam połączyć?

- Jestem teraz bardzo zajęty.

- To kobieta - szepnęła. - Prosiła o pośpiech. Mówi po angielsku z akcentem.

- Odbiorę. - Głos miał zniecierpliwiony.

Nawet nie powiedział dziękuję, pomyślała Emmy, wychodząc na przerwę obiadową. W kantynie spotkała znajome urzęd-

niczki i maszynistki. Z wszystkimi utrzymywała dobre stosunki i była lubiana, chociaż koleżanki uważały ją za niezwykle staroświecką i po cichu współczuły jej, że urodziła się i wychowała na prowincji, nie znała uroków życia w Londynie i nawet nie miała chłopaka. Zapraszały ją na wspólne wypadki do kina czy pubu, ale zwykle odmawiała.

W gruncie rzeczy nie miały jej tego za złe. Zawsze była uprzejma, gotowa do pomocy, chętnie zastępowała inne telefonistki i ze współczuciem wysłuchiwała ich zwierzeń z miłosnych kłopotów. Uznały w końcu, że była w porządku, nawet zaakceptowały jej elegancki akcent. Nic dziwnego, skoro miała ojca nauczyciela... Poza tym, głos jej dobrze brzmiał przez telefon, a o to przecież chodziło w tej pracy.

Pan Foster, który przyjechał do domu na weekend, zgodził się z propozycją córki.

- Przez tydzień będę w Coventry, a potem w kilku szkołach wokół Londynu - wyjaśnił. - Dasz sobie radę, prawda, Emmy?

W niedzielę wieczorem pożegnała rodziców, wyprowadziła George'a na spacer i poszła spać. Nie była bojaźliwą dziewczyną, a odgłosy dobiegające z zewnątrz brzmiały krzepiąco: sąsiad, pan Grant, grał na flecie, nastolatek z przeciwka słuchał muzyki, a stara pani Grimes pokrzykiwała na swego głuchawego męża. Emmy zasnęła głęboko.

Nazajutrz pracowała na nocną zmianę, co oznaczało, że miała wolny cały dzień i szła do pracy na ósmą wieczór. Pospała trochę dłużej, a potem wyszła z George'em na spacer i po zakupy. Resztę dnia spędziła w domu. Wieczorem wyprowadziła psa i przygotowała sobie kanapki. Włożyła do torby „Rozważną i romantyczną” oraz mocno sfatygowaną „Antologię poezji angielskiej” i w zapadającym zmroku wyszła na przystanek auto-

busowy. W domu nie posiadali telefonu, nie obawiała się więc, że matka zadzwoni i będzie się niepokoić.

Gdy dotarła do szpitala, czekała już na nią zmienniczka, starsza kobieta.

- Jak dotąd cisza - poinformowała Ermentrudę. - Mam nadzieję, że będziesz mieć spokojną noc.

Emmy usadowiła się na krześle, sprawdziła wszystkie połączenia i wyjęła /. torby robótkę, którą wsunęła tam w ostatniej chwili.

Było kilka telefonów z prośbą o informacje oraz telefony do personelu medycznego.

Gdy po wypiciu kawy, zabrała się znów za robótkę, zatrzymał się przy niej profesor Mennolt. Prawdopodobnie właśnie wychodził do domu.

- Co za miłe kobiece zajęcie po całodziennym pośpiechu - powiedział, spoglądając na robótkę.

- Pozwala mi nie zasnąć - odparła Emmy. - Ale jest bardzo późno, powinien pan już spać - dodała z troską w głosie.

- To nie pani sprawa, moja droga, młoda damo.

- Nie mówię tego, dlatego że jestem wścibska - odparła tonem usprawiedliwienia. - Każdy potrzebuje snu, a zwłaszcza ludzie pracujący umysłowo.

- Tak pani uważa, Ermentrudo? Nazywa się pani Ermentruda, nieprawdaż?

- Tak uważa mój ojciec.

- Ojciec pani jest lekarzem?

- Nie, nauczycielem.

- Doprawdy? Dlaczego więc nie poszła pani w jego ślady?

- Chyba nie jestem tak zdolna. Poza tym lubię szyć, haftować...

- I dlatego została pani telefonistką? - Ton jego głosu był chłodny.

- To niekłopotliwe, stałe zajęcie - odparła, podnosząc robotkę. - Dobranoc, profesorze Mennolt.

- Dobranoc, Ermentrudo. - Odszedł kilka kroków, po czym odwrócił się i dodał: - Ma pani staroświeckie imię. Gdy na panią patrzę, widzę nieśmiałą młodą damę uczesaną w kok, ubraną w krynolinę, ze spuszczoneymi oczami i cichym, nieśmiałym głosem.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. •

- Ma pani uroczy głos, ale wcale nie jest pani nieśmiała, a na dnie pani oczu widać niezwykle ożywienie.

Odszedł, Emmy zaś długo zastanawiała się, co miał na myśli. W końcu doszła do wniosku, że cudzoziemcy, a w dodatku naukowcy, nigdy nie stąpają mocno po ziemi. To wyjaśnienie, choć niejasne, całkowicie ją zadowoliło.

Audrey, która przyszła zmienić Ermentrudę o ósmej rano, powiedziała ziewając, że nienawidzi rannej zmiany, nie cierpi szpitala i w ogóle pracy.

- Masz szczęście - zauważyła - że dziś przez cały dzień będziesz wolna.

- Po prostu pójdę do łóżka - odparła Emmy i pojechała do domu.

O drugiej po południu zbudziła ją kakofonia dźwięków: pan Grant grał na flecie, zapewne przy otwartym oknie, pani Grimes krzyczała coś do męża w ogrodzie, a wszystko to zagłuszała muzyka rockowa, której miłośnikiem był nastolatek z przeciwnika.

Emmy nakryła głowę poduszką, ale na nic się to nie zdało. Wstała, umyła się i zaparzyła herbatę. Potem wzięła psa na smycz i wyszła z domu. Prawie pustym o tej porze autobusem, z George'em na kolanach, dojechała do Marylebone Road, tam wysiadła i przeszła kilka kroków do Regent's Parku.

Było jeszcze ciepło i zielono, mimo że w powietrzu unosił

się już zapach jesieni. Emmy maszerowała szybkim krokiem, a George wesoło truchlał obok niej.

- Będziemy tu przyjeżdżać codziennie - obiecała swemu ulubieńcowi. - A po powrocie do domu dostaniesz coś dobrego.

Gdy wracali, zapadł już zmierzch. Emmy zjadła kolację, spakowała torbę i wyszła do pracy.

Prawie do północy telefony się urywały i Emmy była bardzo zajęta. Od czasu do czasu ktoś przechodzący zatrzymywał się na słówko. Około jedenastej nocny portier przyniósł jej kawę oraz wiadomość o wypadku, który wydarzył się w dokach, w związku z czym izba przyjęć była pełna ludzi.

- Słyszałam o tym przez telefon - powiedziała. - Mam nadzieję, że nie ma wielu ofiar?

- Dwóch chłopców, starsza kobieta i kierowcy, z których jeden dostał udaru - wyjaśnił portier.

Chwilę później rozdzwoniły się telefony; zaniepokojeni krewni poszkodowanych zadawali tysiące pytań. Gdy w środku nocy zrobiło się nieco spokojniej i mogła zjeść kanapkę, usłyszała tuż przy uchu znajomy głos profesora Mennolta:

- Poczułem ulgę, widząc, że pani nie śpi, Ermentrudo.

- Oczywiście, że nie śpię... - odparła, odkładając kanapkę.

- Ciekaw jestem, co pani robiła w autobusie do Marylebone Road, w czasie gdy powinna pani spać, żeby zebrać siły do nocnej pracy?

- Pojechałam do Regent's Parku z George'em - wyjaśniła.

- Na spacer. - I dodała ze złością: - Wątpię, żeby pan zasnął przy dźwiękach fletu, pokrzykiwaniach pani Grimes i ogłuszającej muzyce stereo.

Profesor stał oparty o ścianę, z rękami w kieszeniach dobrze skrojonej marynarki.

- Może przydałyby się zatyczki do uszu? - spytał. - A może mogłaby pani się przespać u przyjaciół?

- Mama wyjechała do ojca - powiedziała Emmy i ugryzła kawałek kanapki. - Nie mogę zostawić domu ze względu na George'a i Snoodlesa.

- George'a...?

- Naszego psa, a Snoodles to kot - wyjaśniła.

- A więc jest pani w domu sama? - Popatrzył na nią z góry. - I nie boi się pani?

- Nie. - Co za dociekliwy facet! T daczego tak intensywnie jej się przyglądał...? Wolała, by już sobie poszedł; działał na nią niepokojąco. Nagle coś sobie przypomniała. - Nie widziałam pana w autobusie - zauważyła.

- Byłem w samochodzie - odparł z uśmiechem. - Stałem na światłach.

Odwróciła się, żeby połączyć dwa telefony. Obserwował ją. Miała ładne, zadbane dłonie; włosy, choć w nijakim, brązowym odcieniu, upięte w skromny kok na karku, sprawiały wrażenie gęstych i długich. Cóż, nie należała do piękności, ale z takimi oczami to nie miało znaczenia...

Powiedział jej dobranoc i wyszedł. Jadąc do swego przytulnego domu w Chelsea, gdzie Beaker czekał już z kawą i kanapkami - całkiem zapomniał o Ermentrudzie.

Dochodziła druga w nocy, gdy, delektując się znakomitą, wonną kawą zaparzoną w termosie, nadal przeglądał listy i notatki pozostawione przez Beakera. Jedna z nich, nakreślona koślawym pismem kamerdynera, brzmiała: „Panna Anneliese van Moule dzwoniła o ósmej, potem o dziesiątej”.

Profesor zmarszczył brwi, spoglądając na automatyczną sekretarkę. Palilo się czerwone światełko; włączył aparat.

Po chwili odezwał się rozdrażniony damski głos: „Powinie-

neś być w domu o dziesiątej. Specjalnie cię o to prosiłam. Cóż, chyba znów muszę ci wybaczyć... Mam dobrą wiadomość. Przyjeżdżam do Londynu za trzy dni, w piątek. Zatrzymam się w Brown's Hotel. Oczekuję, że zabierzesz mnie gdzieś wieczorem i będziemy mogli porozmawiać o przyszłości... Chciałabym zobaczyć twój dom w Londynie; myślę jednak, że nie będzie dla nas odpowiedni, gdy weźmiemy ślub. Zresztą mam nadzieję, że zostawisz pracę w Anglii i wrócisz do Huis Men-noll".

Profesor wyłączył sekretarkę. Donośny, poirytowany głos Anneliese źle na niego działał. W dodatku wracała do spornych kwestii, które już wielokrotnie omawiali. Nie zamierzał wypro-wadzać się z tego domu. Był wystarczająco duży, przynajmniej dla niego. Ale skoro Anneliese zechce wydawać przyjęcia na wielką skalę, zapraszać tłumy ludzi... Cóż, on na to nie miał najmniejszej ochoty.

Przypomniał sobie, że sam ją wybrał na żonę. Wydawała się najodpowiedniejszą kandydatką. W Holandii obracali się w tych samych kręgach, lubili te same rzeczy: teatr, koncerty, wernisaże. Poza tym Anneliese była ambitna.

Z początku go to bawiło, a nawet sprawiało przyjemność. Do czasu gdy uświadomił sobie, że jej ambicje nie dotyczyły jego zawodowych sukcesów, lecz pozycji w londyńskich wyższych sferach.

W Holandii mogła prowadzić życie towarzyskie takie, jak chciała. W Huis Mennoll było mnóstwo służby i wielkie, urocze ogrody. Gdy on pracował, Anneliese mogła oddawać się rozrywkom, przyjmować gości, wydawać kolacje, dom bowiem był olbrzymi. Ale tutaj, w Chelsea, przy jednym Beakerze i sprzę-taczce, przyjmowanie gości na taką skalę nie wchodziło w rachubę.

Podenerwowany poszedł do sypialni. Jutro od samego rana

będzie przyjmował pacjentów i powinien skupić myśli wyłącznie na pracy.

Nazajutrz wieczorem, gdy opuszczał szpital, Ermentruda siedziała w telefonicznej centrali odwrócona plecami do korytarza. Przechodząc, zerknął tylko na nią przelotnie.

- Pani van Moule znów dzwoniła - poinformował Beaker, gdy tylko przekroczył próg domu. - Kiedy wyszedłem po zakupy, włączyłem sekretarkę...

Profesor szybko wszedł do gabinetu i nacisnął odpowiedni przycisk aparatu telefonicznego. Głos Anneliese nie był już poirytowany, ale nadal brzmiał ostro: „Mój samolot ląduje na Heathrow w piątek o wpół do jedenastej. Postaraj się, bym nie czekała na ciebie, Ruerd. Zjemy potem obiad w hotelu, zgoda?”.

Zajrzał do notesu leżącego na biurku. Na dwie godziny będzie musiał wrócić do szpitala, nim dołączy do niej w Brown's Hotel.

Zdawał sobie sprawę, że na myśl o spotkaniu z Anneliese nie odczuwał podniecenia właściwego dla kochanka. Może dlatego, że nie widział jej od kilku tygodni...? A może był zbyt zaabsorbowany swoimi pacjentami? Za miesiąc, gdy wróci na pewien czas do Holandii, postara się jak najczęściej ją widywać.

Usiadł za biurkiem, włożył na nos okulary i zabrał się do przeglądania korespondencji.

Już druga połowa tygodnia, myślała z satysfakcją Emmy, kładąc się do łóżka następnego poranka. Jeszcze trzy noce i czekają ją dwa wolne dni... Wkrótce mama przyjedzie do domu, a potem w drugiej połowie znów wyjedzie do ojca. Aż w końcu ojciec będzie pracować bliżej Londynu...

Wydała z siebie zmęczone westchnienie i zasnęła.

Gdy wieczorem wychodziła do pracy, padał deszcz i autobus

się trochę spóźnił. Audrey czekała już na nią, ze zniecierpliwieniem przytupując nogami.

- Myślałam, że już w ogóle nie przyjdiesz.

- Dopiero za dwie ósma - odparła Emmy łagodnie, siadając za pulpitem telefonistki. Nagle ogarnęło ją uczucie zniechęcenia na widok tego pulpitu. Znów miała przed sobą ciężką noc, długie godziny walki ze snem... Myśl o nie kończących się dniach i nocach, całych latach spędzonych w telefonicznej centrali, stała się nie do zniesienia.

Emmy z determinacją poprawiła włosy, obiecując sobie w duchu, że poszuka innej pracy - pracy, która pozwoli jej wyjść z zamknięcia. I spotykać ludzi... Może spotka również mężczyznę, który zakocha się w niej i ją poślubi...? Dom na wsi, psy, koty i kury... I dzieci, oczywiście.

Z tych przyjemnych marzeń wyrwał ją telefon, polem kolejne. O tej porze ludzie często dzwonili.

Przez całą noc miała dużo pracy. O szóstej nad ranem padała ze zmęczenia. Jeszcze tylko trzy noce, powtarzała sobie sennie. A potem...

Głośny wybuch sprawił, że wyprostowała się na krześle. Niemal natychmiast dostała meldunek z policji, że na stacji przy Fenchurch Street wybuchła bomba, a rannych przywożą do St Luke.

Emmy, już w pełni rozbudzona, zaczęła zawiadamiać wszystkie oddziały. Dzwoniła do konsultantów, techników i pielęgniarek, którzy nie byli na dyżurze. Zadzwoiła również do profesora Mennolta, ale nie poświęciła mu ani jednej myśli; nie zauważyła również, kiedy przyszedł do szpitala, ponieważ zrobił się duży ruch i zaczęły podjeżdżać ambulanse.

Udzielała informacji, odbierała dziesiątki telefonów, łączyła rozmowy z innymi szpitalami, policją, a nawet z zagraniczną

ambasadą, której pracownik został ranny. Na wszystkie telefony odpowiadała cichym głosem, usiłując nie zwracać uwagi na narastający ból głowy.

Wydawało się, że minęły całe wieki, nim wreszcie zapanowała cisza. Dochodziła dziesiąta, gdy Emmy po raz pierwszy od wielu godzin zerknęła na zegarek. Gdzie się podziała jej zmienniczka? Emmy była głodna, spragniona i śmiertelnie zmęczona. Zastanawiała się właśnie, co robić, gdy Audrey poklepała ją protekcjonalnie po plecach.

- Przepraszam za spóźnienie - rzuciła wesołym tonem - ale sądziłam, że będzie prawdziwe piekło, więc nie przyszłam. Wiedziałam, że nie będziesz mieć nic przeciw temu...

- Mam coś przeciw temu - powiedziała Emmy. - I to bardzo. Miałam mnóstwo pracy, a powinnam iść do domu już dwie godziny temu.

- Ale i tak byś tu była, prawda? Miałam wpaść w sam środek tego bałaganu, abyś ty mogła iść do domu? Poza tym nie masz nic ważnego do roboty; po prostu idziesz do łóżka...

Profesor Mennolt, który właśnie wychodził do domu, zatrzymał się i przysłuchiwał z zainteresowaniem sprzeczce. Ermentruda wyglądała naprawdę kiepsko, bez wątpienia miała mnóstwo pracy. Nie zmrużyła oka przez całą noc, podczas gdy większość personelu po prostu wcześniej wstała.

- Odwiozę panią do domu, Ermentrudo - powiedział ciepłym tonem. - I załatwię sprawę tych dodatkowych godzin. - Emmy patrzyła nań rozszerzonymi ze zdziwienia oczami, ale on nie dopuścił jej do głosu. - Jestem pewien - zwrócił się do Audrey - że miała pani uzasadniony powód, by nie przyjść do pracy o ustalonej porze. - I dodał ze słabym uśmiechem: - Naprawdę uzasadniony. - Po czym zaprowadził nadal zdziwioną Emmy prosto do swego bentleya.

- Nie musi pan odwozić mnie do domu - usiłowała protestować. - Mogę...

- Nie traćmy czasu - odparł. - Obydwoje jesteście zmęczeni. A gdy jestem zmęczony, bywam wybuchowy. Gdzie pani mieszka, Ermentrudo?

ROZDZIAŁ DRUGI

Emmy poirytowanym tonem podała swój adres i przez, całą drogę siedziała w milczeniu.

- Dziękuję - powiedziała chłodno, gdy zatrzymali się przed jej domem, i zrobiła gest w stronę klamki.

Profesor chwycił jej rękę, po czym szybko ją puścił. Wsiadł, otworzył jej drzwi samochodu, a potem wyjął klucz z jej ręki i otworzył drzwi domu. George pospieszył na powitanie swej pani, Snoodles zaś, na którym niełatwo było zrobić wrażenie, siedział na schodach i przyglądał się jej badawczo.

- Dziękuję, profesorze - powtórzyła Emmy, nieco zażenowana jego obecnością.

- Może mógłbym napić się herbaty? - spytał, wchodząc za nią do holu i zamykając za sobą drzwi. - Proszę się rozebrać, a ja tymczasem nastawię wodę, dobrze? - Przyjrzał się jej twarzy. Doprawdy, dziewczyna była bardzo przeciętna... Na moment pożałował, że impuls nakazał mu odwiedzić ją do domu. Z pewnością sama potrafiła doskonale sobie radzić... Do takiego wniosku doszedł już wtedy, gdy zobaczył ją po raz pierwszy. Ale gdy podniosła nań wzrok, zauważył, że była bardzo zmęczona. - Robię wspaniałą herbatę - dodał zachęcająco.

- Dziękuję - odparła z lekkim uśmiechem. - Kuchnia jest tu. - Otworzyła drzwi do małego, schludnego pomieszczenia w głębi domu, po czym zniknęła w korytarzu.

Znalazł herbatę, mleko i cukier, postawił czajnik na małej,

gazowej kuchence i wyjął filiżanki z kredensu. W tym czasie Emmy karmiła Snoodlesa i George'a.

Chwilę później pili herbatę, siedząc naprzeciw siebie i prawie się nie odzywając. Gdy profesor wstał, Emmy nie próbowała go zatrzymać. Podziękowała mu raz jeszcze i odprowadziła do drzwi.

Kiedy po chwili odjechał, zrobiła sobie kanapkę z serem i poszła spać. Była tak zmęczona, że nawet dźwięki fletu nie mogły jej obudzić.

Profesor ledwie wsiadł do samochodu, odebrał z pagera wiadomość, że musi natychmiast wracać do St Luke, bowiem u jednego z rannych wystąpił skrzep w mózgu. Zamiast więc jechać do domu, wrócił do szpitala i spędził tam jeszcze kilka długich godzin, walcząc o życie pacjenta. Dopiero wczesnym popołudniem, gdy kryzys został zażegnany, mógł pojechać do domu.

Postawił torbę w holu i szybkim krokiem wszedł do salonu.

- Anneliese! Zupełnie zapomniałem... -. Zatrzymał się gwałtownie przy drzwiach.

To była piękna kobieta: o gęstych blond włosach krótko przyciętych mistrzowską ręką, regularnych, niemal doskonałych rysach twarzy i dużych niebieskich oczach. Miała na sobie kosztowną kreację od najlepszego krawca. Z tym uroczym obrazem kłócił się wyraźnie rozzłoszczony wyraz jej twarzy.

- Doprawdy, Ruerd! - zawołała po holendersku, nie próbując ukryć zniecierpliwienia. - Co mam o tym myśleć? Ten twój służący, Beaker, którego z pewnością zwolnię zaraz po ślubie, nie zgodził się zatelefonować do szpitala! Powiedział mi, że jesteś zbyt zajęty, żeby ci przeszkadzać. Od kiedy to konsultant nie może podejść do telefonu, jeśli sobie tego życzy?

Przyszło mu do głowy kilka ciętych odpowiedzi, ale natychmiast je odrzucił.

- Przykro mi, kochanie - powiedział. - Niedaleko St Luke dziś rano wybuchła bomba. Mieliśmy pełne ręce roboty. Beaker miał całkowitą rację, nie mógłbym podejść do telefonu. - Przemierzył pokój i pochylił się, by pocałować ją w policzek. - On jest doskonałym służącym, nie zamierzam go zwalniać - dodał.

Spojrzała na niego pytająco. Byli zaręczeni od kilku miesięcy, ale nadal nie miała pewności, czy go dobrze zna. Nie była również pewna, czy go kocha. Mógł jednak ofiarować jej wszystko, o czym w życiu marzyła. Obracali się w tych samych kręgach i pochodzili z tych samych środowisk. Z pewnością ich małżeństwo będzie bardzo udane.

- Przepraszam, że się rozzłościłam - postanowiła zmienić taktykę. - Ale byłam naprawdę rozczarowana. Czy masz wolne popołudnie?

- Muszę wrócić do szpitala wieczorem. Ale zdążymy zjeść razem kolację.

- Świetnie. Zjedzmy w Claridge'u. Kupiłam sukienkę specjalnie z myślą o tobie...

- Sprawdzę, czy mają wolny stół. - Odwrócił się, ponieważ wszedł Beaker.

- Jadł pan lunch, proszę pana? - Spytał, nie patrząc na Anneliese. Gdy profesor odparł, że co nieco przekąsił, zdecydował: - W takim razie przyniosę podwieczorek.

- Doskonale, Beaker. - Gdy służący wyszedł, zwrócił się do Anneliese: - Pójdę teraz zadzwonić.

W gabinecie przesłuchał automatyczną sekretarkę, przejrzał notatki, które poczynił Beaker, wreszcie zarezerwował stół w restauracji. Co prawda, wolałby zjeść w spokoju w domu, ale trudno.

Przy podwieczorku rozmawiali o wszystkim i o niczym. Wymienili uwagi o domu, znajomych, miejscach, które Anneliese odwiedziła. Jego praca jej nie interesowała - ciekawiły ją jego

sukcesy; choć starała się to ukryć, liczyła się dla niej tylko pozycja społeczna, prestiż i stanowisko.

Pół godziny później odwiózł ją do hotelu i wrócił, by popracować w swym gabinecie. Wreszcie niechętnie wstał od biurka, przebrał się i pojechał po Anneliese.

Nie była jeszcze gotowa. Czekał dobry kwadrans, nim doń dołączyła.

- Mam nadzieję, że warto było czekać - powiedziała zalotnie.

Zapewnił ją, że tak. Rzeczywiście wyglądała pięknie w obcisłej wiśniowej sukni, z wysoko upiętymi włosami i w pantoflach na cienkim obcasie. Pierścionek od niego, duży brylant, lśnił na jej palcu. Sama go wybrała, choć jemu wcale się nie podobał.

Pomyślał, że takiej kobiecie każdy mężczyzna na pewno z dumą by towarzyszył. Być może był zmęczony, przepracowany... Tak, z pewnością brakowało mu snu. Jutro, rozmyślał, jutro postara się znaleźć trochę czasu, by ją gdzieś zabrać - na dancing albo na tę wystawę malarstwa do galerii przy Bond Street...

Gdy jechali do restauracji, przez cały czas starał się z uwagą słuchać jej paplaniny. Kolacja wypadła znakomicie: jedzenie i obsługa były doskonałe, a wokół wykwintne towarzystwo.

- Uroczą kolacją, kochanie - pochwaliła Anneliese, gdy odwoził ją do hotelu. - Jutro wybieram się po zakupy, ale może zjemy razem lunch? A wieczorem moglibyśmy pójść na dancing? Mam ci tyle do powiedzenia...

Na pożegnanie nadstawiła policzek do pocałunku.

- Do jutra...

Profesor wszedł do samochodu i pojechał do szpitala. Martwił się o pacjenta, którego badał dziś po południu...

Emmy, siedząc przed telefoniczną konsolą i dziergając na drutach, doskonale zdawała sobie sprawę, że przystanął za nią profesor. Skąd to wiedziała...? Przecież nie wydał żadnego dźwięku...

- Dobry wieczór, Ermentrudo. - Jego głos był cichy i uprzejmy. - Dobrze pani spała?

Odwróciła głowę. Stał tuż obok niej, uderzająco przystojny w tym czarnym smokingu... I zupełnie nie zdawał sobie z tego sprawy.

- Owszem, dobrze - odparła z uśmiechem. - Mam nadzieję, że pan również zdołał wypocząć.

- Jadłem kolację w restauracji. - Skrzywił usta. - Podtrzymałem konwersację, rozmawiałem o sprawach, które w ogóle mnie nie interesują. Och, jeśli sprawiam wrażenie kapryśnego człowieka, który nawet nie wie, jak powinien być szczęśliwy, to proszę mi wybaczyć.

- Wcale tak nie uważam - odparła rozsądnie. - Miał pan pracowity dzień, o wiele bardziej pracowity niż większość ludzi. Musiał pan podjąć tyle ważnych decyzji... Przypuszczam, że przyszedł pan zobaczyć tego pacjenta ze skrzepem w mózgu?

- Słyszała pani o nim? - zapytał ze zdumieniem.

- Oczywiście, słyszę przecież różne rzeczy. I niektóre z nich naprawdę mnie interesują.

Zadzwoił telefon, a gdy dokonała połączenia, profesora już nie było.

Kiedy opuszczał szpital, nie zatrzymał się przy niej, ona jednak zauważyła, że wychodził. Dziwne. To było naprawdę niepokojące.

Audrey przyszła punktualnie; była w złym nastroju.

- Dostałam reprimendę - powiedziała ponuro do Emmy.

- Nie rozumiem, o co robią tyle zamieszania. Ostatecznie, ty tu

byłaś. I nikt by się o niczym nie dowiedział, gdyby nie profesor Mennolt. Co on sobie wyobraża? Kimże jest?

- Jest uprzejmym człowiekiem - wtrąciła łagodnie Emmy.
- Odwiózł mnie do domu.

- Tym swoim wielkim wozem? Och, słyszałam, że jest bajecznie bogaty. I zamierza się ożenić z jakąś holenderską pięknoscią. Rozmawiałam z jego sekretarką...

- Mam nadzieję, że będą bardzo szczęśliwi - ucięła Emmy. Ale przelotne przecucie nieszczęścia odbiło się smutkiem w jej oczach. Niewiele wiedziała o profesorze, ale działał na nią w jakiś szczególny, niepokojący sposób. Trudny mężczyzna... Człowiek, który szedł własną drogą... Mimo wszystko, naprawdę chciała, by był szczęśliwy.

Podczas ostatnich dni w ogóle nie widywała go. Dopiero w niedzielę, gdy na chwilę zatrzymała się przed wejściem do szpitala i z zamkniętymi oczami chłoneła ożywcze, poranne powietrze, wyobrażając sobie, że jest na wsi, spotkała go znów.

- Dziwię się, że tu pani stoi, Ermentrudo - odezwał się.
- Sądziłem, że pragnie pani jak najszybciej stąd uciec.

- Przyjemnie jest wyjść na dwór - odparła. Gdy otworzyła oczy, spostrzegła, że był ubrany w sweter i zwykłe spodnie.

- Pracował pan przez całą noc?

- Nie, tylko przez godzinę. - Uśmiechnął się lekko. Wyglądała blado i mizernie. Jej mały nosek lśnił, a włosy były ściągnięte w bezlitosny kok, bardzo skromny i całkowicie pozbawiony wdzięku. Przypominała kociaka, który całą noc spędził na deszczu. - Podrzucę panią do domu - powiedział.

- Jedzie pan w moją stronę?

Nie uznał za konieczne odpowiadać. Jechali przez prawie puste ulice. Gdy zatrzymali się przed domem Emmy, profesor nieoczekiwanie powiedział:

- Poproszę o klucz. - A potem, jak gdyby nigdy nic, wysiadł, otworzył drzwi domu, wrócił do samochodu, pomógł Emmy wysiąść i zabrał jej torbę.

George powitał ich radośnie od progu, odpychając Snoodlesa kręcącego się wokół ich nóg.

Profesor poszedł prosto do tylnych drzwi i wypuścił zwierzaki do ogródka, potem postawił czajnik na gazie.

Zachowuje się tak, jakby tu mieszkał, pomyślała zdumiona Emmy. Stała oparta o kuchenną ścianę i ziewała.

- Śniadanie - poinformował ją, rozpinając płaszcz i rzucając go na krzesło. - W czasie gdy nakarmi pani swoich podopiecznych, ja ugotuję jajka.

Bez zastanowienia wykonała jego polecenie; nie miała siły protestować. Nie przypominała sobie, by zaprosiła go na śniadanie, ale być może był bardzo głodny.

Nakrył do stołu, zrobił grzanki i podał jajka. Jedli śniadanie jak dobre, stare małżeństwo. Profesor zabawiał ją rozmową. Emmy prawie nie musiała się odzywać, z czego była niezmiernie rada. Wkrótce gorąca herbata i posiłek pobudziły ją do życia.

- Jestem panu bardzo wdzięczna - powiedziała wzruszona.
- Naprawdę byłam zmęczona...

- Miała pani ciężki tydzień. Czy rodzice prędko wrócą?

- Jutro rano. - Spojrzała na niego poważnie. - Sądzę, że chce pan już iść do domu...?

- Za chwilę. Ale najpierw proszę iść na górę, Ermentrudo, i położyć się spać. Ja tymczasem posprzątam, a potem po prostu wyjdę, zgoda?

- Z pewnością nie umie pan zmywać! - zaprotestowała zdziwiona.

- Owszem, potrafię. - Nie całkiem kłamał; od czasu do czasu zdarzało mu się wypłukać filiżankę, gdy Beakera nie było w pobliżu.

Starannie posprzątał, wpuścił z powrotem zwierzaki i zamknął kuchenne drzwi. W domu panowała głucha cisza. Stapając delikatnie po schodach, wszedł na górę.

- Ermentrudo?

Nie otrzymał odpowiedzi. Pierwsze z brzegu drzwi były na wółp otwarte. Profesor zajązał do środka.

Pokój był mały, skromnie, ale gustownie umeblowany. Emmy leżała na łóżku, usta miała lekko rozchylone, a włosy rozrzucone na poduszce. Nie zbudzi jej nawet orkiestra dęta, pomyślał z uśmiechem. Zszedł na dół i cicho zamknął za sobą drzwi.

Zbliżając się do Chelsea, zerknął na zegarek. Dochodziła jedenasta. Zabierał Anneliese na lunch z przyjaciółmi. Podejrzewał, że po powrocie zechce robić plany na przyszłość... Do tej pory nie mieli okazji do poważnej rozmowy, a w ciągu następných dni również większość czasu musiał spędzić w szpitalu. Och, dziś był śmiertelnie zmęczony... Gdyby tak mógł wyrwać się choćby na jeden dzień na wieś...

Gdy tylko otworzył frontowe drzwi swego domu, Beaker wyszedł mu na spotkanie: W jego powitaniu wyczuwało się nutę nagany.

- Zatrzymano pana w szpitalu? - zapytał. - Przygotowałem śniadanie na zwykłą porę. Ale może być na stole za dziesięć minut.

- Nie ma potrzeby, Beaker. Dziękuję. Jadłem już śniadanie. Wezmę prysznic, a potem wypiję tylko kawę, nim przyjedzie panna van Moule.

- Jadł pan śniadanie w szpitalu? - Beaker nie ustępował.

- Nie... Ugotowałem jajka, zrobiłem grzanki i zaparzyłem mocną herbatę. Odwiozłem kogoś do domu - dodał tonem wyjaśnienia. - Obydwoje byliśmy głodni.

Kamerdyner w skupieniu pokiwał głową. Gotowane jajka zamiast jajecznicy na bekonie z pieczarkami, pomyślał ze zgro-

zą. Z ledwością powstrzymał grymas obrzydzenia. Mimo wszystko przygotowuje ciasteczka i może jednak kanapkę...

Z zadowoleniem skonstatował, że profesor po zejściu na dół ochoczo zabrał się do jedzenia. Sprawiał wrażenie człowieka, któremu przydałby się spokojny dzień. Zamiast tego, musiał zabawić tę pannę van Moule! Beakerowi wcale się ona nie podobała: wyniosła, zarozumiała dziewczyna, bardzo niechętnie do niego nastawiona. Profesor powiadomił go, że wrócą tu razem na podwieczorek, a być może zostanie także na kolacji...

Beaker wyszedł do kuchni i wyrabiając ciasto, na małe ciasteczka, wysoko cenione przez gości profesora, wylewał swe żale przed kotem Humphreym.

Anneliese wyglądała naprawdę oszamiająco w szykownym szarym kostiumie z krepdeszynu. Miała nieskazitelny makijaż i każdy włos na swoim miejscu.

Powitała narzeczonego uroczym uśmiechem oraz ostrzeżeniem, by nic zburzył jej fryzury. Nadstawiła policzek, po czym z gracją wsiadła do samochodu.

- Nareszcie spędzimy razem dzień - zauważyła. - Wrócę do ciebie po lunchu. Może nawet zostanę na kolacji. - Zerknęła na jego profil. - Musimy porozmawiać o przyszłości, Ruerd. O naszym nowym, mam nadzieję, większym domu i twojej pracy... Przepuszczam, że zrezygnujesz z pracy konsultanta w szpitalu i poprzestaniesz na prywatnej praktyce? Masz przecież wielu przyjaciół, wpływowych ludzi, nieprawdaż?

- Owszem - potwierdził, starając się na nią nie patrzeć. - Jednak nie zamierzam ich wykorzystywać. Co więcej, nie ma takiej potrzeby. I nie spodziewaj się, że porzucę pracę w szpitalu, Anneliese.

- Oczywiście, kochanie. - Położyła dłoń na jego kolanie. - Obiecuję, że już nie zabiorę głosu na ten temat. Ale porozma-

wiajmy chociaż o znalezieniu nowego domu, w którym moglibyśmy przyjmować gości. - Była wystarczająco mądra, by wiedzieć, kiedy należy przerwać. - Ci ludzie, z którymi jemy lunch, to twoi starzy przyjaciele?

- Znałem Guya Bowers-Bentincka, jeszcze nim się ożenił. Ma uroczą żonę, Suzannah, pięcioletnie bliźniaki, a w drodze kolejne dziecko.

- Czy ona mieszka w tej wsi Great Chisbourne? I nic nudzi się tam? Nie brak jej kin, teatrów, życia towarzyskiego?

- Nie. Ma kochającego męża, dwójkę wspaniałych dzieci, uroczy dom i niewielkie grono przyjaciół. Jest szczęśliwa.

Jakiś ton w jego głosie sprawił, że Anneliese szybko dodała:

- Z pewnością to urocza osoba. Myślę, że się polubimy.

Niestety, tak się nie stało. Natychmiast poczuły do siebie antypatię. Anneliese uznała Suzannah za osobę szarą, mdłą i niewartą uwagi. Suzannah zaś od razu zauważyła, że piękna Holenderka w ogóle nie pasuje do Ruerda i zapewne go unieszczęśliwi.

Mimo to lunch upływał w przyjemnej atmosferze. Kobiety prowadziły niezobowiązującą konwersację, panowie zaś dyskutowali o pracy. Po pewnym czasie Anneliese zaczęła zdradzać oznaki znużenia. Zwykle była w centrum uwagi, tu zaś stanowiła tło. Rozmowa dotyczyła głównie dzieci, co ją niewiele interesowało.

- Czy macie dziecięcą jadalnię? - spytała.

- Och tak. Mamy też cudowną, starą nianię - odparła Suzannah. - Ale dzieci jadają z nami, chyba że wieczorem mamy gości. Dzięki temu częściej widują ojca. - Uśmiechnęła się przez stół do męża, on zaś odwzajemnił ten uśmiech spojrzeniem pełnym oddania.

Gdy wracali do Chelsea, Anneliese powiedziała do Ruerda:

- Suzannah to urocza dziewczyna. - W jej głosie brakowało jednak szczerości. - Jej mąż jest do niej ogromnie przywiązany.

- Tego należy przecież oczekiwać od męża - skwitował profesor cichym głosem.

. - Och, tak, oczywiście! - Roześmiała się sztucznie. - Ale to nie jest mój ideał małżeństwa. Dzieci powinny jadać w swoim pokoju, do czasu aż pójdą do szkoły, czyż nie?

Nie odpowiedział. Dopiero po chwili rzekł:

- To urocze dzieci. I świetnie wychowane. - Jego głos był jakby lekko zniecierpliwiony.

Jechał szybko autostradą, oddając się rozmyślaniom. Zapadał wczesny październikowy zmierzch. Za parę dni nastanie listopad, a pod koniec tego miesiąca wyjedzie do Holandii na kilka tygodni. Oczekiwało go tam mnóstwo pracy w szpitalu... Oczywiście, częściej będzie widywał Anneliese, która z pewnością zechce ustalić dokładną datę ślubu...

Podczas zaręczyn dał jej do zrozumienia, że chciałby mieć cichy ślub. Anneliese wyraziła zgodę, ale w miarę upływu czasu coraz częściej napomykała o absolutnej konieczności urządzenia hucznego wesela. Chciała zaprosić wszystkich przyjaciół, rodzinę, mieć drużny, ale przede wszystkim pragnęła wystąpić we wspaniałej ślubnej sukni.

Teraz przez całą drogę usta jej się nie zamykały. Opowiadała jakieś anegdoty, przyznać trzeba zabawne, o swych hollenderskich przyjaciółkach. Wiedziała, jak być uroczą towarzyszką... Od czasu do czasu zdawkowo odpowiadał na jej pytania. Ale był zmęczony, śmiertelnie zmęczony, i papłanina Anneliese działała mu na nerwy. Z jakąż ulgą opowiedziałby jej o swej pracy w szpitalu, o pacjentach, którymi się opiekował. Ale jej to nic a nic nie obchodziło. Interesowała się jego zawodem tylko w kontekście towarzyskim. Chciała być żoną znanego lekarza o nieograniczonych możliwościach awansu.

Gdy wjechali w londyńskie przedmieścia, zwolnił. Anneliese

będzie odpowiednią żoną, powtarzał sobie - ładną, uroczą, bystrą i zawsze doskonale ubraną.

- Herbatę wypijemy przy kominku, dobrze? - Zerknął na zegarek. - Beaker z pewnością już ją przygotował.

Kiedy weszli do saloniku, zastali Humphreya siedzącego przed kominkiem i zapatrzonego w ogień. Wyglądał jak wypchana, futrzana figurka. Anneliese zatrzymała się na środku pokoju.

- Ruerd, proszę cię, zabierz tego kota! - powiedziała stanowczo. - Wiesz przecież, jak ich nie lubię. Tylko roznoszą wirusy.

- On jest pełnoprawnym domownikiem, Anneliese. - Profesor wziął Humphreya na ręce. - I, jak wszystkie koty, jest niezwykle czysty. Wątpię, byś złapała tu wirusa.

Wyniósł kota do kuchni i posadził go przed piecykiem.

- Panna van Moule nic lubi kotów - wyjaśnił głuchym głosem Beakerowi. - Niech Humphrey tu pozostanie, aż do jej odjazdu. Czy mógłbyś podać kolację o wpół do dziewiątej? Coś lekkiego, po podwieczorku nie będziemy mieć specjalnego apetytu.

Gdy wrócił do salonu, Anneliese siedziała przed kominkiem. W blasku ognia wyglądała tak pięknie, że zatrzymał się na chwilę, by ją podziwiać. Każdy mężczyzna byłby dumny z takiej żony, pomyślał. Dlaczego więc jej widok nie wzbudzał w nim namiętności?

Obserwował ją, gdy nalewała herbatę. Miała piękne, zadbane ręce o długich, szczupłych palcach. Spojrzała do góry i uśmiechnęła się, zdając sobie sprawę, że jest obiektem podziwu.

- Wiem, że będziemy się często widywać, gdy przyjedziesz w grudniu do Holandii - odezwała się. - Myślę jednak, że już dziś możemy poczynić pewne plany. - I nie czekając na jego komentarz, dodała: - Myślałam o ślubie latem, co o tym są-

dzisz? Będziemy mogli pojechać na długie wakacje, nim gdzieś osiadziemy na stałe. Czy mógłbyś przez kilka pierwszych miesięcy pracować tylko w Holandii? Oczywiście, mógłbyś pojechać do Londynu w razie potrzeby. I z pewnością możesz zrezygnować z konsultacji, nieprawdaż? Prywatni pacjenci wystarczą, no i oczywiście nie możemy stracić kontaktu z twoimi przyjaciółmi i znajomymi. - Posłała mu promienny uśmiech. - Jesteś tutaj sławny, czyż nie? To bardzo ważne, by znać wszystkich, którzy się liczą w towarzystwie... - Gdy nie podjął tematu, dodała: - Nie będę egoistką i pozwolę ci traktować ten dom jako bazę w Londynie. Być może trochę później znajdziemy coś większego.

- O jakim mieszkaniu myślisz, Anneliese? - spytał cicho.

- Byłam w agencji nieruchomości, gdzieś w pobliżu Harrodsa, nie pamiętam nazwy... Mieli kilka odpowiednich apartamentów, wystarczająco dużych do przyjmowania gości. Będziemy potrzebować co najmniej pięciu sypialni i oddzielne mieszkanie dla służby. - Z głową przechyloną na bok obdarzyła go kolejnym uśmiechem. - Proszę, zgódź się, Ruerd.

- Na najbliższe cztery miesiące mam tu poważne zobowiązania - odrzekł z namysłem. - I z pewnością dojdą nowe. Proszono mnie, bym w marcu wygłosił wykład w Lejdzie i przeegzaminował studentów w Groningen. A w Wiedniu mam wygłosić referat. W tej chwili nie mogę dać ci zdecydowanej odpowiedzi.

- Och, Ruerd, dlaczego musisz tak ciężko pracować? - Wydęła usta. - Mam nadzieję, że w Holandii będziesz mieć dla mnie więcej czasu. Czy możemy wydać przyjęcie na Boże Narodzenie?

- Sadzę, że tak. Porozmawiamy o tym później. Jakie plany ma twoja rodzina?

Nadal rozwodziła się na ten temat, gdy zjawił się Beaker z wiadomością, że kolacja gotowa.

Późnym wieczorem przy pożegnaniu Anneliese spytała:

- A co z jutrem, Ruerd? Może poszlibyśmy na wystawę...?
Zdecydowanie potrząsnął głową.

- Pracuję przez cały dzień. Będę zajęty aż do wieczora. Zatelefonuję do hotelu i zostawię wiadomość. Będzie pewnie za późno na kolację, ale możemy razem wypić drinka.

Musiała się tym zadowolić. Pójdzie po zakupy, a kolację zje sama w hotelu, postanowiła. Uśmiechnęła się lekko, by zamaskować irytację.

Następnego poranka, gdy profesor wchodził do szpitala, spojrział, jak to miał już w zwyczaju, na miejsce, w którym zwykle siedziała Ermentruda. Oczywiście, dziś jej tam nie było.

Emmy wstała wcześniej, żeby przygotować się na powrót rodziców. Gdy zeszła na dół, zauważyła, że profesor pozostawił kuchnię w idealnym porządku. Nakrył nawet dla niej do śniadania.

- Bardzo troskliwie z jego strony - powiedziała do George'a, który z nadzieją czekał na ciasteczko. - A wyglądał na człowieka, który wody nie potrafi zagotować! Musi mieć bezradną narzeczoną...

Zmarszczyła brwi. Z pewnością zatrudniał gospodynię albo przynajmniej kobietę na przychodne... Nieoczekiwanie zaczęła o nim rozmyślać.. Kiedy zamierza się ożenić, gdzie mieszka w Londynie, a gdzie ma dom w Holandii...

Ponieważ ani George, ani Snoodles nie mogli zaspokoić jej ciekawości, zaniechała dalszych pytań na temat profesora Menolta i skoncentrowała myśli na zakupach, które powinna zrobić, zanim rodzice pojawią się w domu. .

Rodzice oczywiście słyszeli o bombie; informowano o tym wypadku w telewizji, pisano w gazetach.

- Co za szczęście, że ciebie tam nie było - powiedziała z ulgą pani Foster przy popołudniowej herbacie.

- W pewnym sensie tam byłam, w samym sercu wydarzeń - odparła Emmy, a potem opowiedziała rodzicom, jak profesor Mennolt przywiózł ją do domu i zaparzył herbatę.

- Mamy wobec niego dług wdzięczności - rzekł ojciec.

- Wygląda mi na przyzwoitego człowieka - wtrąciła matka. - Czy to starszy człowiek? Chyba tak, skoro jest profesorem?

- Nie jest wcale stary - powiedziała Emmy. - W szpitalu mówią, że wkrótce się ożeni. Nie wiedzą o nim zbyt wiele, a nikt nie śmie spytać.

Pomyślała, że pewnego dnia, gdy nadarzy się okazja, sama to zrobi. Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu zależało jej, by się ustabilizował i był szczęśliwy. Odnosiła jednak wrażenie, że wcale się na to nie zanosilo... To dziwne, był przecież wybitnym specjalistą w swej profesji, czekała na niego piękna dziewczyna i zapewne miał dość pieniędzy na wygodne życie.

Dwa dni z rodzicami minęły o wiele za szybko. Ojca nie było prawie przez cały dzień, Emmy spędziła więc poranek z matką, oglądając wystawy przy Oxford Street. Potem kilka godzin siedziały przy kominku - matka robiła na drutach, Emmy zaś haftowała. Rozmawiały o ojcu, o jego szansach na pracę w pobliżu domu.

- Byłoby cudownie, gdyby ojciec dostał pracę i moglibyśmy sprzedać ten dom - westchnęła Emmy.

- Żadnych sąsiadów, prawda, kochanie? - uśmiechnęła się matka. - Czyż nie byłoby jak w raju? I żadnych jednolitych rzędów domków! Och, kto wie, co jeszcze nam los przyniesie?

Następnego ranka, gdy Emmy wychodziła do szpitala, padał deszcz. W autobusie panował tłok, a pasażerowie byli zdenerwowani. Wsiadła przystanek wcześniej, ponieważ jechała ściśnięta między dwoma mokrymi płaszcami, a stopy miała pokłute czubkami parasoli.

Kiedy przechodziła przez wąską uliczkę, gdzie większość domów była całkowicie opuszczona, zobaczyła kota. Był bardzo mały i bardzo mokry; siedział obok zabitych deskami drzwi. Gdy Emmy podeszła bliżej, spostrzegła, że został przywiązany sznurkiem do klamki. Popatrzył na nią, zadrżał, otworzył swój mały pyszczek i prawic bezgłośnie zamiauczał.

Emmy rozwiązała sznurek i wsunęła kociaka pod kurtkę. Nie miała pojęcia, co zrobi z tym małym stworzeniem, ale w żadnym wypadku nie mogła go tutaj pozostawić.

Do szpitala dotarła wcześniej; znalazła pudełko, wyłożyła je starą gazetą i uprosiła portiera o kubek mleka. Potem osuszyła kociaka chusteczką, nakarmiła i z satysfakcją obserwowała, jak w chwilę później zapadł w krzepiący sen. Budził się co pewien czas, wypijał odrobinę mleka i znów zasypiał. Na szczęście nikt go nie zauważył przez cały dzień.

Pod koniec dyżuru nieoczekiwanie przyszła zwierzchniczka Emmy, złośliwa kobieta lubiąca wytykać wszystkim błędy. To był prawdziwy pech, że akurat w tym momencie kotek się obudził i cicho zamiauczał.

- Znalazłam go przywiązanego do klamki - broniła się Emmy. - Padało. Zamierzam zabrać go do domu...

- Czy on spędził tu cały dzień? - Biust starszej kobiety zafalował złowieszczo. - Przynoszenie zwierząt do szpitala jest surowo zabronione. Wie pani o tym, panno Foster? Złożę raport na ten temat. Tymczasem proszę oddać zwierzę któremuś portierowi! - zakończyła kategorycznym tonem.

- Nic pozwolę na to! - oburzyła się Emmy. - Jest pani...

Na szczęście nie zdążyła dokończyć.

- Och, mój kotek! - powiedział, wesoło profesor Mennolt, pochylając się nad pudełkiem. - Dziękuję, że się nim pani opiekowała, Ermentrudo. - Uśmiechnął się przepraszająco do zwierzchniczki Emmy. - Złamałem regulamin, nieprawdaż? Ale wydawało mi się, że najlepiej zrobię, jeśli na kilka godzin tutaj go zostawię.

- Panna Foster właśnie mi powiedziała...-zaczęła kobieta.

- Nie chciała, abym miał kłopoty, prawda, Ermentrudo?

Emmy przytaknęła, z podziwem obserwując, jak w profesjonalny lekarski sposób radzi sobie z tą agresywną kobietą, która w końcu uśmiechnęła się i powiedziała:

- Zapomnę o tym przewinieniu, panno Foster - i pożeglowała na dalszą inspekcję.

- Gdzie go pani znalazła? - spytał z ożywieniem profesor.

Opowiedziała mu wydarzenia dzisiejszego poranka.

- Zabiorę go do domu - dokończyła. - Snoodles i George zyskają nowego przyjaciela.

- Wspaniały pomysł! - entuzjazmował się profesor. - Widzę, że idzie pani zmienniczka, poczekam na zewnątrz.

Emmy przekazała swe obowiązki, wzięła karton z kociakiem i pospieszyła do wyjścia. Bentley profesora czekał tuż przed drzwiami. Wsiadła do środka i odjechali w potokach deszczu.

Kociak przysiadł na drżących łapkach i miauczał przeciągle; był ubłocony i przeraźliwie chudy.

- Mam nadzieję, że wszystko z nim będzie w porządku - powiedziała z niepokojem Emmy.

- To raczej ona - poprawił ją profesor. - Zbadam ją.

- Naprawdę? Och, dziękuję panu... Potem zabiorę ją do weterynarza.

Emmy otworzyła drzwi do domu i przepuściła profesora przodem. Następnie otworzyła drzwi do salonu.

Pani Foster siedziała ze Snoodlesem na kolanach. Na widok wchodzących wstała.

- Zapewne pan profesor, który był tak miły dla Emmy? - powiedziała, wyciągając dłoń. - Jestem jej matką. Emmy, rozbierz się i nastaw wodę na herbatę. Co masz w tym pudle, kochanie?

- Kota.

- Och, cała Emmy! - Pani Foster gestem wskazała profesorowi krzesło. - Zawsze znajdowała ptaki z połamanymi skrzydłami i zagubione zwierzaki. - Gdy na jej twarzy zagościł uśmiech, niezwykle podobny do uśmiechu córki, profesor pomyślał, że pani Foster ma wiele uroku.

- Zaproponowałem, że obejrzę to stworzenie - wyjaśnił swą obecność. - Było przywiązane do klamki...

- Biedactwo! - rozczuliła się pani Foster. - Ludzie są tacy okrutni. To bardzo uprzejmie z pańskiej strony... Zaraz przyniosę ręcznik. Ale może najpierw napije się pan herbaty?

Właśnie zjawiała się Emmy z tacą. Pozostawili kota w kartonie przed kominkiem, by się rozgrzał, sami zaś zasiedli do herbaty.

Chwilę później, po zbadaniu kotka i postawieniu pocieszającej diagnozy o jego stanie zdrowia, profesor podziękował pani Foster za herbatę, uśmiechnął się do Emmy i wyszedł.

- Podoba mi się - zauważyła pani Foster, zamykając drzwi.

Emmy, która karmiła kota mlekiem i bułką, nic nie odpowiedziała.

ROZDZIAŁ TRZECI

Nazajutrz, podczas spotkania z narzeczoną Ruerd wydawał się nieobecny duchem. Anneliese czuła złość i rozczarowanie. Dlaczego zachowywał się tak dziwnie? Włożyła przecież wiele trudu, by wyglądać jak najlepiej... -

Rzeczywiście, gdy pojawili się w restauracji, wszystkie głowy odwróciły się w ich stronę. Stanowili piękną parę. Anneliese zdawała sobie z tego sprawę.

Niebawem przekonała się, że Ruerd nie zamierza rozmawiać o przyszłości. Oczywiście, nie dopuszczała myśli, że ten brak zainteresowania tematem mógł być wynikiem czegoś innego niż chwilowych kłopotów w pracy i zmęczenia. Postanowiła jednak nie wspominać o planach na przyszłość i postarała się być zajmującą towarzyszką.

Odniosła wrażenie, że to jej się udało, wieczór bowiem upłynął w miłej atmosferze. Gdy odwoził ją do hotelu, zasugerowała, że może zostanie kilka dni dłużej w Londynie.

- Tęsknię za tobą, Ruerd... - dodała zalotnie.

- - Zostań, jeśli masz ochotę - powiedział krótko. - Może uda mi się załatwić bilety na to przedstawienie, na którym tak ci zależy. Postaram się mieć wolne wieczory.

Zatrzymał się przed hotelem i odwrócił głowę, by spojrzeć na swą towarzyszkę. W półcieniu wyglądała tak uroczo, że pochylił się i ją pocałował.

- Och, kochanie! - Uniosła rękę w geście obrony. - Nie teraz... Psujesz mi uczesanie.

Wysiadł, otworzył jej drzwi i wszedł z nią do foyer. Potem pożegnał się uprzejmie i wrócił do domu. Po drodze przekonywał sam siebie, że Anneliese będzie idealną żoną... Jej chłód z czasem minie. Była piękna, elegancka, potrafiła przyjmować gości i być uroczą towarzyszką życia...

Gdy wszedł do domu, Beaker z Humphreym wyszli mu na powitanie.

- Mam nadzieję, że spędził pan przyjemny wieczór - powiedział uprzejmie kamerdyner.

Profesor machinalnie skinął głową. Humphrey przypomniał mu o kociaku i Ermentrudzie... Często i bez żadnego uzasadnionego powodu ta dziewczyna przychodziła mu na myśl. Jutro rano zapyta ją o kota...

Emmy, wypoczęta po wolnych dniach, przyszła do pracy trochę wcześniej. Usiadła w telefonicznej centrali i wyjęła robótkę na drutach. Gdy była w połowie pierwszego rzędu, zdała sobie sprawę z obecności profesora. Podniosła na niego wzrok, a ponieważ był rześki, słoneczny poranek i szczerze ucieszyła się jego widokiem, uśmiechnęła się szeroko i życzyła mu dobrego dnia.

Odpowiedział dość chłodno; wyjął z kieszeni okulary, przetarł je i założył na swój orli nos, aby przeczytać notatki zostawione dla niego na pulpicie.

Uśmiech zamarł Emmy na ustach. Odwróciła głowę i zajęła się z powrotem robótką, żałując, że nikt akurat nie dzwoni. Może nie powinna pierwsza się do niego odzywać...?

- Jest piątek rano - zagaiła jednak - i świeci słońce.

Zdjął okulary, by lepiej jej się przyjrzeć.

- A co z kotką? - spytał jakby w roztargnieniu. - Ma się dobrze?

- Doskonale! - Ucieszyła się, że o nim pamiętał. - Snood-

les i George wspaniale się nią opiekują. Cała trójka śpi razem w koszyku. Miło, że pan o tym pamiętał.

- Miło, miło... - powtórzył z irytacją. - To puste słowo, Ermentrudo.

- Och! - zająknęła się zakłopotana. Na szczęście zadzwonił telefon. Gdy po chwili znów odwróciła głowę w stronę korytarza, profesora już tam nie było.

Czyżby się na nią obraził...? Może powinna go przeprosić? Może była impertynencka? Wiele razy w ciągu następnych godzin zadawała sobie te pytania. Gdy po zakończeniu dyżuru wolno szła do wyjścia, profesor dogonił ją, lekko wyprzedził, a potem zatrzymał się zniecacka.

- Układam właśnie list z przeprosinami do pana - wyznała, jak zwykle szczerą, Emmy. - Chociaż właściwie nie wiem, czy powinnam to robić...?

- Ja również nie wiem - powiedział. - A co pani zamierzała napisać?

- Szanowny panie profesorze, na początek, a potem, że jest mi ogromnie przykro z powodu mej impertynencji...

- Uważa pani, że zachowała się impertynencko? - Nie krył zdziwienia.

- Wielki Boże, wcale tak nie uważam! Ale jeśli pana nie przeproszę, może zostanę zwolniona z pracy albo...

- Kiepską masz o mnie opinię, Ermentrudo - skwitował, posyłając jej lodowate spojrzenie.

- Och, nie! - W pośpiechu starała się wszystko naprawić. - Myślę nawet, że jest pan bardzo miły... - Urwała. - Och, powinnam użyć innego słowa, nieprawdaż? - Uśmiechnęła się, ignorując jego zimny wzrok. - Pan naprawdę jest miły! Ale, jeśli pan woli, mogę powiedzieć: przystojny albo pociągający.

Uniósł do góry dłoń w obronnym geście.

- Oszczędź mi rumieńców, Ermentrudo. Niech już będzie

„miły”. Zapewniam jednak, że nie zostanie pani zwolniona z pracy z mojego powodu.

- Och, to świetnie! Widzi pan, u nas w domu się nie przelewa. ..

To wyjaśniało, dlaczego zwykle ubrana była tak skromnie i nijako.

- W takim razie, skoro już wyjaśniliśmy sprawę, odwiezę panią do domu.

- Dziękuję, ale mogę złapać autobus.

Profesor, nie przyzwyczajony do sprzeciwu, wziął ją pod ramię i wyprowadził z budynku.

- Co pani robi dziś wieczorem? - spytał, gdy już siedzieli w samochodzie. - Idzie pani na randkę, do kina lub na kolację?

Zerknęła nań przelotnie. Patrzył przed siebie z bardzo poważną miną.

- Nie mam chłopaka, więc nie chodzę na randki - odparła równie poważnie. - Po kolacji wyprowadzę George'a na spacer. A potem będziemy gawędzić z rodzicami... Bardzo lubimy rozmawiać. - Ponieważ nic nie mówił, po chwili spytała: - A pana czeka przyjemny wieczór, profesorze?

- Idziemy z narzeczoną do Covent Garden na balet, a potem gdzieś na kolację. Osobiście nie przepadam za baletem...

- To prawda, że mężczyźni raczej nie lubią baletu - wtrąciła. - Ale kolacja na pewno będzie udana...

- Mam nadzieję.

W jego głosie zabrzmiała dziwna nuta.

- Na kolację też pan nie lubi chodzić? - ośmieliła się spytać.

- To zależy, gdzie i z kim. Z przyjemnością poszedłbym z psem na długi spacer do parku, a potem zjadłbym kolację...

- Urwał. Nie to chciał przecież powiedzieć.

- To bardzo proste - ożywiła się Emmy. - Niech pan kupi

psa. Będzie pan z nim chodzić wieczorami na długie spacerory, a potem jeść miłą kolację w jego towarzystwie.

Profesor wyobraził sobie Anneliese, jak biega z psem po Hyde Parku, a potem wraca, by zjeść kolację w jego towarzystwie. Żadnego strojenia się, kelnerów, żadnych współbiedniaków, którzy by ją podziwiali. Poczul w głowie zamęt.

- Wezmę psa ze schroniska w Battersea - powiedział ze zdziwieniem, jakby nie poznawał własnego głosu. - Pojedzie pani ze mną i pomoże mi go wybrać, Ermentrudo?

- Z ogromną chęcią, ale... Ale pańska narzeczona...

- Anneliese wraca do Holandii za kilka dni.

- Zgoda. Gdy wróci z Holandii, będzie miała wspaniałą niespodziankę!

- Z pewnością będzie to dla niej niespodzianka - skwitował.

Przystanął przed domem Emmy, pożegnał się zdawkowym skinieniem głowy i ruszył w stronę Chelsea. Chyba oszalałem, myślał. Anneliese nigdy nie zgodzi się na psa, a już z pewnością nie zechce chodzić z nim na spacerory! Co się ze mną dzieje? W towarzystwie Ermentrudy tracę zdrowy rozsądek!

Tego wieczoru przy kolacji celowo mówił o Ermentrudzie. Opowiedział Anneliese o bombie oraz o małym kociaku.

Wysłuchiwała go z pobłażliwą miną.

- Kochanie, jakie to do ciebie podobne, że niepokoisz się o jakąś dziewczynę tylko dlatego, że przestraszyła się bomby - skomentowała. - Z twojej opowieści można wywnioskować, że jest okropnie nudna. Czy przynajmniej jest ładna?

- Nie.

- Wyobrażam ją sobie: przeciętna, myszowata i źle ubrana. Mam rację?

Skinął głową.

- Ale ma ładny głos. To zaleta w jej pracy - wyjaśnił.

- Mam nadzieję, że przynajmniej jest ci wdzięczna. To zna-

czy, mam wrażenie, że dla takiej dziewczyny to zaszczyt, że się do niej w ogóle odzywasz.

Profesor nie odpowiedział. Było raczej mało prawdopodobne, by Ermentruda czuła się zaszczycona jego towarzystwem. Rozmawiała z nim bardzo swobodnie, nawet udzielała mu rad. Był dla niej zwykłym mężczyzną.

- Czy możemy zmienić temat? - spytała Anneliese trochę zniecierpliwiona. - Rozmowa o tej dziewczynie nudzi mnie.

Mnie nie, pomyślał z dziwnym uśmiechem profesor. Choć urodą nie mogła równać się z Anneliese. I gdyby nie zbieg okoliczności, zapewne nigdy by jej nie zauważył. Znów uśmiechnął się do siebie.

Ten podejrzany uśmiech sprawił, że Anneliese, mimo że była całkiem pewna Ruerda, postanowiła interweniować.

Emmy powiedziała rodzicom, że zamierza pojechać z profesorem do schroniska w Battersea.

- Kiedy profesor się żeni? - spytała jej matka.

- Nie mam pojęcia. Nie mówi o tym, a ja nie śmiem spytać.' Rozmawiamy o sprawach bez znaczenia. - Westchnęła. - Myślę, że uprzedzi mnie, kiedy zamierza pojechać po psa.

Codziennie kłaniał jej się na korytarzu. I to wszystko. Nie spytał nawet o kota.

Pod koniec tygodnia, gdy Emmy wróciła z przerwy obiadowej, okazało się, że ma gościa. Wystarczyło jedno spojrzenie, by rozpoznała w nieznanym kobiecie narzeczoną profesora. Nie wiedziała, skąd zrodziła się ta pewność. Po prostu to musiała być ona.

- Czy mogę w czymś pomóc? - spytała uprzejmie. - Chce się pani widzieć z profesorem?

- Wie pani, kim jestem?

- Właściwie, nie... - odparła onieśmielona Emmy. - Ale profesor Mennolt wspominał o swej narzeczonej... Wygląda pani dokładnie tak, jak sobie panią wyobrażałam.

- A jak mnie pani sobie wyobrażała? - W tonie głosu Anneliese słychać było rozbawienie.

- Jako kobietę piękną i wspaniale ubraną. - Emmy uśmiechnęła się życzliwie. - Pokażę pani, gdzie może pani poczekać...

- Och, wcale nie przyszłam do profesora! - zaprotestowała Anneliese. - Opowiadał mi o bombie i o tym, jakie to było wstrząsające przeżycie dla całego personelu... Napomknął również o pani. - Roześmiała się nieprzyjemnie. - Na podstawie jego opisu, również ja panią rozpoznałam. Przeciętna, myszowata i kiepsko ubrana. O Boże, nie powinnam tego powtarzać! Proszę mi wybaczyć...

- Doskonały opis mojej osoby, nieprawdaż? - zgodziła się cicho Emmy. - Dobrze się pani bawi w Londynie? To miasto jesienią ma szczególny urok...

- Owszem, można tu zrobić interesujące zakupy, a wieczorem zjeść w dobrej restauracji. A pani często korzysta z rozrywek Londynu?

- Nie. Po powrocie do domu wychodzę na spacer z psem.

- Ach, ma pani psa? Nie znoszę psów, szczególnie w domu. Nie lubię również kotów. Ich sierść...

Emmy nie potrafiła ukryć oznak zniecierpliwienia. Wreszcie powiedziała, że musi zająć się pracą.

- Miło było panią poznać - zakończyła fałszywie. W jednej chwili zgodziła się z profesorem, że słowo „miły” często bywało konwencjonalnym określeniem. W duchu modliła się, by nigdy więcej nie spotkać tej kobiety.

- Nie będę już pani przeszkadzać - odrzekła chłodno Anneliese. - Doprawdy, jestem zadowolona, że opis Ruerda był tak dokładny.

Nie podała jej ręki na pożegnanie, a nawet nie powiedziała „do widzenia”. Emmy wraz ze swą zmienniczką obserwowały, jak odchodziła z dumnie podniesioną głową.

- Kto to był? - spytała koleżanka Emmy.
- Narzeczona profesora Mennolta.
- Biedny człowiek! Ona da mu popalić, zobaczysz.
- Jest bardzo piękna - skomentowała Emmy, starając się nie okazać ogarniającej jej złości.

Następnego wieczoru, po bezsennej nocy i ciężkim dniu, w głosie jej pobrzmiwała gorycz i gniew, gdy rozmawiała z profesorem. On jednak zdawał się tego nie zauważać.

- Mam wolną niedzielę - poinformował. - Pomoże mi pani wybrać psa? Pojedziemy rano albo, jeśli pani woli, po południu? - Głos jego nie brzmiał jednak przyjaźnie; był raczej głosem kogoś, kto z niechęcią spełnia obowiązek. - Moja narzeczona dziś rano wyjechała do Holandii - dodał, jakby bez związku.

- Nie - odparła stanowczo Emmy. - Obawiam się, że nie mogę.

Popatrzył na nią przymrużonymi oczami.

- Uważa pani, że to niestosowne z mojej strony, bym spędził trochę czasu z kimś innym niż Anneliese?

- Wcale tak nie uważam. - Zmarszczyła brwi. - Chodzi tylko o to... - szukała właściwych słów - że rozmawiał pan o mnie ze swą narzeczoną i...

- Moja droga Emmy, chyba pani nie podejrzewa, że Anneliese będzie miała powody do zazdrości? Na litość boską, proszę jedynie o to, by pomogła mi pani wybrać psa!

- Oczywiście, profesorze - odparła Emmy. - To ostatnia rzecz, która by mi przyszła do głowy. Jestem, jak pan mnie doskonale opisał, przeciętna, myszowata i źle ubrana. Z pewnością nie jestem dla pana odpowiednią towarzyszką, nawet w schronisku dla psów.

- Kiedy widziała się pani z Anneliese? - spytał poważnym tonem.

- Przyszła tu, by mnie obejrzyć - odparła lodowato Emmy.
- Chciała sprawdzić, czy dokładnie mnie pan opisał.

Przez dłuższą chwilę profesor stał osłupiały i patrzył na Ermentrudę w skupieniu.

- Przepraszam - powiedział w końcu. - To niewybaczalne z mej strony, że rozmawiałem z Anneliese na pani temat. Nie miałem pojęcia, że była tu.

- Cóż, większość kobiet tak by postąpiła - odparła Emmy chłodno. - Pana opis mógł przecież nie odpowiadać prawdzie.
- Uśmiechnęła się z goryczą. - Mogłam być, na przykład, porwijącą blondynką.

- Staram się w życiu nie kłamać, Ermentrudo - oświadczył.
- Jest pani bardzo miłą osobą... używam tego przymiotnika na właściwym miejscu. I przepraszam, że panią zraniłem. Z pewnością spotka pani mężczyznę, który panią pokocha taką, jaka pani jest. Zauważy piękne oczy i pełną wdzięku twarz. Dla niego będzie pani najpiękniejszą kobietą na świecie i wyzna to pani.

- Miło, że pan to powiedział - skomentowała Emmy. - Właściwie nic się nie stało. Od dziecka wiem, że jestem bardzo przeciętna. I nic zaskoczyła mnie pana opinia. - Leciutko westchnęła. - Ma pan bardzo piękną narzeczoną i mam nadzieję, że będzie pan z nią szczęśliwy.

Profesor stał w milczeniu, podczas gdy Emmy łączyła rozmowę. Gdy skończyła, nadal tam był.

- Pomoże mi pani wybrać psa? - ponowił prośbę.
- Dobrze, profesorze. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Po południu, około drugiej, zgoda?
- Dziękuję. Przyjadę po panią.

Odszedł, Emmy zaś wpadła w wir pracy i nic miała czasu przemyśleć tej rozmowy.

Trochę później, gdy wystarczająco ochłonęła, by się nad tym zastanowić, zrozumiała, co ją rozzłościło najbardziej. Nie miała do niego pretensji, że rozmawiał o niej z narzeczoną. Ale zabołało ją, że nazwał ją przeciętną i teraz temu nie zaprzeczył. Ale, jeśliby zaprzeczył, a ona wiedziałyby, że kłamie z grzeczności? Czy również byłaby zła? Ponieważ zawsze starała się być uczciwa wobec samej siebie, musiała przyznać, że tak. Cóż, mimo wszystko lubiła go, choć nic dawał jej ku temu powodów.

W poniedziałek rodzice Emmy wyjeżdżali do Coventry. Zapewniali, że to ich ostatni tydzień spędzony poza domem. Ojciec miał perspektywę pracy w okolicach Londynu.

- Wiem, że wieczorami znów będziesz czuła się samotnie - ubolewała pani Foster.

- Mamo, naprawdę mam mnóstwo roboty - zapewniła Emmy. - Trzeba uporządkować ogród przed zimą.

Ogród był tylko małym trawnikiem okolonym klombami, na których wiosną zamierzała posadzić ozdobne kwiaty.

Profesor zjawił się punktualnie; wymienił z rodzicami grzeczności i zabrał Emmy do samochodu.

Włożyła sporo wysiłku, żeby poprawić swój wygląd. To prawda, że jej kostium pochodził z domu towarowego, a ponieważ miał starczyć na dłużej, był w burobrązowym kolorze, w którym nie było jej do twarzy - ale za to kremowa bluzka miała gustowny krój, a skórzane rękawiczki i torebka prezentowały się doskonale. Od matki pożyczyła pantofle na dość wysokim obcasie, ponieważ jej półbuty najlepsze dni miały już za sobą. Pantofle mamy trochę ją uwierały, ale wyglądały nieźle.

Profesor, zerkając na nią dyskretnie, ze zdziwieniem zapragnął, by jakaś dobra wróżka zamieniła brązowy kostium Emmy w coś naprawdę twarzowego. Był jednak mile zaskoczony, zauważając, że nosiła swój strój z wdziękiem. Dotychczas wyda-

wało mu się, że zupełnie nie przywiązuje wagi do swego wyglądu. Okazało się, że się mylił.

Podczas drogi bawił partnerkę zdawkową rozmową, ona zaś odpowiadała ostrożnie, ponieważ czuła się niezręcznie i właściwie żałowała, że w ogóle zgodziła się na to spotkanie. Ale jej samopoczucie odmieniło się, gdy przyjechali do schroniska. Emmy nigdy nie widziała naraz tylu psów, nic słyszała tak przejmującego psiego koncertu.

Chodzili tu i tam, przyglądając się zwierzakom; niektóre przywarły do klatek i patrzyły na nich błagalnie, inne zaś siedziały z tyłu w obojętnych pozach.

- Udają, że im nie zależy, by ktoś zwrócił na nic uwagę - zauważyła Emmy. - Chciałabym zabrać je wszystkie.

Profesor uśmiechnął się do niej. Jej twarz, na której malowało się teraz współczucie, ku jego zdumieniu, wcale nie wyglądała przeciętnie.

- Obawiam się, że mogę wziąć tylko jednego - powiedział.
- Czy jest tu pies, który by do mnie pasował? Rozglądam się i rozglądam, ale jeszcze żaden nie wpadł mi w oko.

Uwę Emmy przykuł duży, kudłaty pies o miłym pysku, podobny do labradora. Siedział w kącie klatki, widocznie duma nie pozwalając mu przymilać się do oglądających go ludzi. Ale w jego oczach wyczuwało się błaganie.

- Proszę tam spojrzeć - powiedziała nagle Emmy. - To ten!

Mimo że pies nie mógł słyszeć jej słów, wolno wstał i patrząc na nich, zaczął machać ogonem. Gdy dopełnili koniecznych formalności i profesor założył mu na szyję nową, masywną obrozę, pies zaszczekał radośnie.

- Widzi pan? - powiedziała Emmy. - On rozumie, że pan go wzięł. Jest śliczny... Czy wiadomo, jakiej jest rasy?

- Chyba kundel. Błąkał się po ulicach, aż pewna litościwa osoba przywiozła go tutaj.

Zajęli miejsca w samochodzie; pies ostrożnie przysiadł na tylnym siedzeniu, na uprzednio przygotowanym dlań kocu.

- Od pierwszej chwili przypadł mi do serca - powiedział profesor Mennolt, włączając się do ruchu. - Mam nadzieję, że Beaker poczuje to samo.

- Beaker?

- To mój kamerdyner. Prowadzi mi dom. Czyżbym o nim nie wspomniał, opowiadając o Humphreyu? Fantastyczny gość.

Gdy zaparkował przed swoim domem, Emmy powiedziała:

- Och, tutaj pan mieszka? Śliczny dom... Czy jest tu ogród?

- Tak. Proszę wejść i zobaczyć.

- Ależ z pewnością jest pan bardzo zajęty... - oponowała.

Poważnym tonem zaprzeczył.

- Proszę wejść, pozna pani Beakera i Humphreya.

Beaker, który otworzył im drzwi, na widok psa uniósł znacząco brew. Ukłonił się Emmy, ta zaś podała mu rękę.

- Przystojny pies - oświadczył z godnością. - Wypuścić go prosto do ogrodu, proszę pana?

- Tak, Beaker. Trzeba mu pokazać wszystkie kąty, był dłuższy czas w schronisku i czuje się bardzo niepewnie. Kilka chwil w ogrodzie z pewnością go ośmieli. A potem poproszę o podwieczorek.

Kamerdyner oddalił się, a profesor poprowadził Emmy przez hol do salonu, a potem przez przeszklone drzwi balkonowe do ogrodu. Był to całkiem duży ogród jak na centrum Londynu, okolony ceglany murem. Rosło w nim nawet kilka drzew: górski jesion, srebrna karłowata brzoza, o tej porze roku już bezlistna, oraz stara jabłoń.

Psa nie trzeba było ponaglać, by wybiegł na dwór.

- Jak tu uroczo - powiedziała Emmy. - Wiosną musi tu być cudownie. Z pewnością kwitną kwiaty? - Gdy przytaknął, przy-

glądając jej się uważnie, dodała: - I jabłoń. Myśmy też mieli kilka drzew...

- Mielicie duży ogród? - podchwycił.

- Tak. Trochę zapuszczony, ale rosło w nim wszystko. Gdy wychodziłam rano, czułam się jak w niebie. A powietrze... Och, w Londynie nie ma takiego powietrza. W każdym razie nie w pobliżu St Luke... - Urwała, zła na siebie, że powiedziała tak wiele, jakby domagała się współczucia. - Jak pan nazwie psa?

- Miałem nadzieję, że to pani wymyśli mu imię.

- Powinno budzić szacunek i mieć dużo godności, by mu wynagrodzić bezdomność... - Zamyśliła się na chwilę. - Nie, to powinno być imię, które podkreśli, że jest członkiem rodziny... Na przykład Charlie... Tak, gdy byłam małą dziewczynką, chciałam mieć brata o imieniu Charlie.

- W takim razie będzie Charlie. - Zawołał psa jego nowym imieniem, ten zaś przybiegł natychmiast z wywieszonym ozorem, radośnie machając puszystym ogonem. Profesor pogłaskał czule włochatą głowę Charliego. - Myślę, że zasłużyłeś na podwieczorek. Chodźmy do środka! My też zasłużyliśmy.

- No cóż - wtrąciła Emmy. - Nic zamierzałam zostawać, chciałam tylko zobaczyć ogród.

- Charlie i ja będziemy głęboko urażeni, jeśli nie zje pani z nami podwieczorku - zaprotestował profesor. - Co więcej, Beaker gotów pomyśleć, że jako kucharz nie wzbudził pani zaufania.

Uśmiechnęła się mimo woli.

- Dziękuję za zaproszenie.

Zjedli podwieczorek przy kominku. Na niskim stoliku kamerdyner ustawił porcelanową zastawę i efekty swoich wysiłków. Były tam tartinki, drobne ciasteczka, ciasto cze-

koladowe, miniaturowe makaroniki oraz srebrny czajnik z herbatą.

Charlie z godnością usiadł przed kominkiem i wzrokiem pełnym zachwytu patrzył na ciasto. Chwilę później Beaker otworzył drzwi i wpuścił do salonu Humphreya. Kot, krocząc powoli, okrążył pokój, wreszcie usiadł obok Charliego. Ignorując psa, wpatrywał się z godnością w płomienie.

- Myśli pan, że się zaprzyjaźnią? - spytała podniecona Emmy.

- Tak sądzę. Ale Humphrey będzie tu rządził. Charlie będzie musiał grać drugie skrzypce.

- A pańska narzeczona go polubi?

Profesor wziął kawałek ciasta.

- Obawiam się, że nie - powiedział. Gdy Emmy nie odzywała się, zakłopotana, dodał: - Część roku spędzam w Holandii, wtedy, oczywiście, Charlie zostanie z Beakerem.

- Czy w Holandii ma pan psa? - spytała, dolewając sobie herbaty.

- Dwa: spaniela i wilczura irlandzkiego.

Chciała zapytać o jego dom w Holandii, ale zabrakło jej odwagi. Mimo przyjacielskiego nastawienia wyczuwała w nim głęboką rezerwę. Nie była pewna, co o tym, myśleć. W towarzystwie profesora czuła się szczęśliwa, nawet wówczas gdy nie byli w najlepszych stosunkach. Ale gdy patrzyła na sprawę z dystansu, dochodziła do wniosku, że kontynuowanie tej przyjaźni - jeśli w ogóle ich znajomość można było tak nazwać - nie ma sensu.

- Pójdę już do domu - powiedziała nieśmiało po skończonym podwieczorku. - Rodzice jutro rano wyjeżdżają do Coventry. Na szczęście to już ostatnia praca ojca poza domem.

- Ojciec pani zadowolony jest ze swej pracy? - spytał nieoczekiwanie profesor.

- Wolałby być dyrektorem szkoły, i to raczej nie w Londynie.

- Jeśli otrzymałby pracę na prowincji, pani by również wyjechała?

- Oczywiście. Poszukałabym tam innej pracy. Lubię szyć, haftować i znam się na wszystkich pracach ręcznych. Mogłabym pomagać krawcowej albo zatrudnić się w sklepie. -I dodała wojowniczym tonem: - Lubię ładne ubrania.

Przemilczał ten temat. Przed oczami stanęła mu Anneliese, w wytwornej kreacji, której koszt stanowił dla Emmy fortunę. Emmy wyglądałaby prawie tak samo ładnie, gdyby włożyła stroje Anneliese, pomyślał.

Nie zatrzymywał jej, gdy powstała, ale poczekał, aż pożegna się ze zwierzakami i podziękuje Beakerowi za podwieczorek. Potem poprowadził ją do samochodu.

W niedzielne popołudnie ulice świeciły pustkami, tak że jazda na drugi koniec Londynu nie trwała długo. Przed domem Emmy profesor podziękował za pomoc i stojąc na chodniku ponurej, wąskiej uliczki, poczekał aż otworzyła drzwi i zniknęła w środku.

W drodze powrotnej do Chelsea doszedł do wniosku, że spędził przyjemne popołudnie. Emmy okazała się dobrą towarzyszką: potrafiła słuchać i odzywała się tylko wówczas, gdy naprawdę miała coś do powiedzenia. Powinien pamiętać, by od czasu do czasu poinformować ją, jak się czuje Charlie.

- Charlie jest dokładnie taki, jakiego wybrałabym dla siebie - opowiadała Emmy rodzicom. - Mile spędziłam popołudnie. I zjadłam wysmienity podwieczorek; profesor ma kamerdynera, który piecze doskonałe ciasteczka. A dom... Jaki ma wspaniały dom! Zwłaszcza ogród sprawia wrażenie, jakby wcale nie był w Londynie.

- Tęsknisz za naszym starym domem, prawda, kochanie?
- spytał ojciec.

- To prawda - przyznała. - Chociaż tu jest bardzo przytulnie... - Puste słowa, którym nikt nie dał wiary.

- Myślę, że profesor będzie cię informował, jak radzi sobie z psem - zauważyła matka,

- Być może. - W głosie Emmy brzmiało powątpiewanie.

Nie widywała profesora przez kilka dni, a kiedy pewnego wieczoru zatrzymał się przy niej, poinformował tylko, że Charlie całkowicie się zadomowił.

- Błyskawicznie się do mnie przywiązał - powiedział z dumą. - Wszędzie za mną chodzi.

Pożegnał się chłodno z Emmy, ona zaś zastanawiała się, dlaczego odnosi się do niej z taką rezerwą.

Wreszcie doszła do wniosku, że miał pracowity dzień i rano z pewnością będzie w lepszym nastroju.

Ale rano nie pojawił się wcale. Audrey, będąca skarbnicą plotek, powiedziała, że wyjechał do Birmingham.

- Dużo podróżuje, prawda? Na święta wraca do Holandii. Rzadko będziemy go widywać. Ale i tak nie jest szczególnie przyjacielski. Czego się zresztą spodziewać? Jest wybitną osobistością i zadziera nosa.

To była prawda, przynajmniej częściowo, pomyślała Emmy. Powinna o tym pamiętać, gdy następnym razem profesor zatrzyma się na pogawędkę. Dziwne, ale zaczynał odgrywać dużą rolę w jej jednostajnym, spokojnym życiu. To nie było dobre. Nie mieli ze sobą nic wspólnego... No, może z wyjątkiem Charliego... A poza tym, przypomniała sobie z goryczą, uważał ją za przeciętną i źle ubraną dziewczynę. Jeśli choć w połowie mogłabym wydać na siebie tyle, co Anneliese, pokazałabym, że wcale nie jestem taka zwyczajna, pomyślała z nutką złości.

Były to oczywiście senne marzenia. Powinna zapomnieć o profesorze i zająć się innymi, ważnymi sprawami.

Ale nic godnego uwagi nie przychodziło jej do głowy. Myśli jej stale powracały do osoby profesora Mennolta.

Profesor myślał o niej również; wprawiało go to w prawdziwe zakłopotanie, a nawet złość. Bardzo zwyczajna dziewczyna, doszedł do wniosku. Dlaczego więc miał nieodpartą ochotę odmienić jej życie? W gruncie rzeczy wcale nie narzekała na nie... Była młoda, mogła poszukać sobie innej pracy, ubrać się elegancko, poznać ludzi, wreszcie znaleźć sobie chłopaka. . .

Ale w głębi duszy wiedział, że nawet gdyby miała szansę na odmianę losu, nie opuściłaby domu i rodziców. Jej rodzice przypadli mu do gustu; ojciec popadł w kłopoty nie z własnej winy. Gdyby znalazł pracę dyrektora szkoły na prowincji, toby rozwiązało ich problemy. Ermentruda mogłaby opuścić St Luke... Profesor przerwał czytanie notatek, zdjął okulary, przetarł je i znów założył na nos. Do licha, będzie mu jej brakować. To śmieszne, myślał. Nawet dobrze nie zna tej dziewczyny.

Nie chciał się przyznać, że zna Ermentrudę jak siebie samego. I to od pierwszej chwili gdy ją zobaczył. Nagle uświadomił sobie, że zamierza poślubić Anneliese, Ermentruda zaś nie okazuje mu nadmiernego zainteresowania. Cóż, był dla niej za stary; traktowała go uprzejmie, ale obojętnie, jak znajomego z pracy...

Profesor był człowiekiem honoru. Poprosił Anneliese o rękę, wiedząc, że będzie dla niego odpowiednią żoną i nie było żadnego powodu, by miał zmienić zdanie. Nawet gdyby Ermentruda się w nim zakochała... Zresztą, było to całkowicie nieprawdopodobne. .

Jednak podczas wykładów, przyjmowania pacjentów czy

szpitalnego obchodu nie dawały mu spokoju myśli o Ermentrudzie. Oczywiście ta dziewczyna nie zostanie jego żoną, ale mógł wiele zrobić, by uczynić ją szczęśliwą. Postanowił, że zajmie się tym po powrocie z Holandii.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Wbrew swym postanowieniom Emmy tęskniła za profesorem. Chciała go widywać, nawet jeśli on miałby nie zwracać na nią uwagi. Sam fakt, że był w szpitalu, niezwykle ją cieszył. Rozmyślała także o Anneliese, która zapewne szykowałą się do ślubu, szczęśliwa, że znalazła mężczyznę, który może ofiarować jej wszystko, czego pragnęła.

- Mam głęboką nadzieję, że ona na to zasługuje - szepnęła Emmy do siebie, wprawiając w zaskoczenie portiera, który właśnie przyniósł jej kawę.

- Jeśli mówisz o kobiecie, to uwierz mi, ona na nic nie zasługuje - skomentował. - Wiem to dobrze, od lat jestem żonaty!

- A profesora ani śladu - powiedziała Audrey, przychodząc do pracy. - Z pewnością dobrze się bawi w Birmingham. Po ślubie nie tak łatwo się wyrwać, no nie? Może pojedzie prosto do Holandii i wróci po świętach, kto wie?

- Święta są dopiero za sześć tygodni - wtrąciła Emmy. - Jeśli ma tu pacjentów i pracę, pozostanie w Londynie tak długo, jak trzeba. Wiem, że go nie cierpisz, ale inni go lubią.

- Włącznie z tobą, oczywiście. - Audrey zachichotała.

- Masz rację - przyznała poważnie.

W tym tygodniu Emmy pracowała na nocną zmianę. Tym razem jednak rodzice byli w domu. Ojciec wizytował szkołę na

obrzeżach Londynu i wieczorami wracał do domu bardzo zmęczony. Ale nie skarżył się; nigdy tego nic robił. Jeszcze tylko przez tydzień albo dziesięć dni miał zastępować inspektora oświaty. Potem musiał wracać na słabo płatną posadę nauczyciela. Dobrze, że Emmy też pracuje, myślał. Dzięki temu dawali sobie jakoś radę.

Emmy połączyła kilka telefonów do lekarzy, a polem zaplanował spokój. Wyjęła robótkę na drutach - pulower dla ojca na święta - i zaczęła pracowicie nabierać oczka. Nagle uświadomiła sobie, że stoi nad nią profesor. Ręka jej drgnęła i zgubiła dwa oczka.

- Och, pomyliłam się przez pana - powiedziała, odwracając ku niemu głowę.

- Skąd pani wiedziała, że tutaj jestem? - W jego głosie słychać było rozbawienie. - Nawet się nie odezwałem...

- Po prostu wiedziałam, że ktoś się tu zatrzymał - płątała się bezradnie, unikając jego wzroku. Przypomniała sobie od razu, że ta rodząca się i niczego dobrego nie wróżąca przyjaźń powinna być zdławiona w zarodku. Nabrała zgubione oczka w krępującej ciszy, a potem powiedziała: - Mam nadzieję, że Charlie miewa się dobrze?

Poinformował ją uprzejmie, że pies cieszy się znakomitym zdrowiem.

- A pani kotek? - spytał w rewanżu.

- Jest wspaniały! - ożywiła się. - George i Snoodles troskliwie się nim opiekują.

- Jak go pani nazwała? - dopytywał się.

- Enoch - odparła uprzejmie Ermentruda. - Mama w dzieciństwie miała kota o tym imieniu, w dodatku był także rudy z białymi łatkami.

Profesor doszedł do wniosku, że Ermentruda grzecznymi, lecz chłodnymi odpowiedziami dawała mu do zrozumienia, że

tej znajomości nie mogą posunąć dalej. Tym lepiej, pomyślał. Zaczynał się nią zbyt interesować... Pożegnał się więc zdawkowo i odszedł.

Emmy wróciła do robótki. To nie było przyjemne spotkanie, myślała. Ale z drugiej strony zrealizowała swój plan, dając mu do zrozumienia, że uważa ich znajomość za całkiem zwyczajną. Zresztą, profesor wkrótce się ożeni i pochłona go całkiem inne sprawy...

Pomyliła się jednak. Profesor pochłonięty był swymi pacjentami, a czynione przezeń plany nie miały nic wspólnego z jego własną przyszłością. Przeciwnie, zastanawiał się, jak uczynić życie Emmy szczęśliwszym...

Wszędzie miał mnóstwo przyjaciół, tak więc odnowienie starej znajomości z dyrektorem męskiej szkoły w Dorset, którego znał jeszcze z Cambridge, nie stanowiło problemu.

- Mam jeden wakat - powiedział dyrektor. - Ale dla odpowiedniego człowieka. Polegam na tobie, Ruerd. - Zapisał coś w notatniku, a potem wyrwał kartkę. - Powiedz mu, żeby do mnie zatelefonował.

- Nie ma mowy! - Profesor zdecydowanie potrząsnął głową. - Jeśli on lub jego córka dowiedzą się, że za tym stoję, natychmiast odmówią.

- Nie wiedziałem, że ma córkę...? - Mężczyzna uśmiechnął się znacząco. - Myślałem, że się żenisz?

- Och, daj spokój! Możesz wykluczyć wszelkie romantyczne powody. Chciałem tylko pomóc tej dziewczynie odmienić jej los. Ona tak nie lubi Londynu... Aby mogli wyjechać, jej ojciec musi dostać pracę na prowincji.

Przyjaciel profesora westchnął.

- Dobrze, coś wymyślę... Na przykład historyjkę, że spotkałem kogoś, znajęcego kogoś, kto zna owego... Fostera, zgo-

da? Ale pamiętaj, Ruerd, jeśli złapię jedną z tych paskudnych chorób, w których się specjalizujesz, będziesz mnie leczyć za darmo!

Po przyjsciu do domu dyrektor opowiedział żonie, że profesor Mennolt zadaje sobie wiele trudu, by uszczęśliwić jakąś dziewczynę z St Luke.

- Myślałam, że się wkrótce żeni z Anneliese?
- Chyba w tej kwestii nie zmienił zdania - odparł dyrektor.
- Po prostu lubi pomagać kulawym pieskom.
- Anneliese nie lubi psów - skwitowała jego żona.

Nazajutrz nadszedł list zapraszający pana Fostera na spotkanie w sprawie pracy. Nie mógł nadejść w lepszym momencie, ponieważ tą samą pocztą przyszło pismo powiadamiające go o zwolnieniu z dotychczasowego stanowiska nauczyciela od początku grudnia.

Siedzieli przy kolacji i dyskutowali nad szczęśliwym zbiegiem okoliczności.

- Nie chwalmy dnia przed zachodem słońca - powiedział ostrożnie pan Poster. - Całe szczęście, że mam wolny czwartek. Będę musiał pojechać pociągiem.

Emmy wyszła do kuchni i z górnej półki zdjęła puszkę po ciasteczkach. Przeliczyła znajdujące się w niej pieniądze. To były oszczędności na nieprzewidziane okazje. Właśnie teraz były potrzebne.

- Czy dostaniemy dom? - spytała po powrocie. - Littleton Mangate to niewielka miejscowość, prawda? Gdzieś w pobliżu Blackmore Vale. - Uśmiechnęła się szeroko. - Och, tato, to jest zbyt dobre, by okazało się prawdziwe!

Następnego dnia, odpowiadając na powitanie profesora, Emmy z całych sił poskromiła chęć podzielenia się z nim dobrymi

wiadomościami. Było na to jeszcze za wcześnie. Zresztą, jak się zdawało, profesor wcale nie miał ochoty wznawiać ich krótkich konwersacji. Nadal ją pozdrawiał, przechodząc - ale to było wszystko. Czuła się trochę urażona, choć przecież sama tego chciała...

Ojciec wyjechał na spotkanie w sprawie pracy w czwartek wczesnym rankiem. Emmy była niespokojna przez cały dzień; dawała się ponosić rozpacz, to znów ulegała falom radosnego optymizmu.

Profesor, widząc ją odwróconą plecami, miał ochotę zatrzymać się i porozmawiać, ale coś go powstrzymało. Udzielenie pomocy, to jedna sprawa, ale nadmierne zaangażowanie mogło okazać się niebezpieczne. Dobrze, że wkrótce wyjeżdżam do Holandii, pomyślał. Powinienem częściej spotykać się z Anne-liese...

Tego wieczoru powrót do domu autobusem dłużył się Emmy w nieskończoność. Gdy wreszcie wpadła do kuchni jak burza, rozradowane twarze rodziców powiedziały jej prawdę.

- Dostałeś ją! - zawołała ucieszona Emmy. - Wiedziałam, że tak będzie, tato! - Rzuciła płaszcz na krzesło, nalała sobie filiżankę herbaty i poprosiła: - Opowiedz mi wszystko. Dostaniemy dom? Kiedy zaczynasz? Podobał ci się dyrektor?

- Zostałem przyjęty - oznajmił pan Foster uroczyście. - Ale jeszcze sprawdzają moje referencje. Owszem, mamy dom! To dawny domek myśliwski na terenie szkoły. A pracę mam zacząć tak szybko, jak to możliwe. Masz miesięczny termin na złożenie wymówienia w szpitalu, prawda, Emmy? Dasz sobie tutaj radę, jeśli będziesz musiała zostać sama? Oczywiście, zwierzaki zabierzemy ze sobą. Mama tymczasem urządzi dom w Littleton Mangate, ten zaś natychmiast wystawimy na sprzedaż. Och,

myślę, że święta spędzimy już razem... - rozmarzył się pan Foster.

Emmy od razu wyraziła zgodę. Co prawda, smutno jej będzie samej w prawie pustym domu, ale przecież to tylko kilka tygodni... Myśl o opuszczeniu St Luke dodawała jej skrzydeł.

- A co z pieniędzmi? - spytała rzeczowo.

- Bank udzieli mi pożyczki pod zastaw tego domu. - Ojciec miał zafrasowaną minę. - Nie jest to idealne rozwiązanie, Emmy, ale naprawdę nie mamy wyboru.

- To wspaniały pomysł, tato - pochwaliła. - Zaczniemy się z mamą natychmiast pakować, i mama dołączy do ciebie za kilka dni. Mnie wystarczy tylko stół i krzesło... Nasz sąsiad, pan Stokes, który mieszka na końcu ulicy, zajmuje się przeprowadzkami.

- Nie jestem całkiem pewna, czy powinniśmy cię zostawić - zawahała się matka. - Na pewno nie masz nic przeciw temu, kochanie?

- Doskonale dam sobie radę - zapewniła Emmy. - Och, taka jestem szczęśliwa!

Gdy podekscytowana Emmy kładła się do łóżka, przeszło jej przez myśl, że po wyjeździe z St Luke nigdy już nie zobaczy profesora Mennolta.

Następnego poranka, jadąc do pracy, postanowiła powiedzieć mu o nieoczekiwanej odmianie w jej życiu.

Ale nie dostała tej szansy. Prócz oficjalnego „dzień dobry” nie miał jej nic do powiedzenia, później zaś wychodził ze szpitala w towarzystwie kolegi.

Powiem mu jutro, pomyślała Emmy z nadzieją.

Ale następnego poranka profesora w ogóle w pracy nie było; około południa usłyszała, że wyjechał do Holandii.

Właściwie dlaczego miał się interesować jej przyszłością?

Złożyła już wypowiedzenie i postanowiła nikomu o tym nie mówić.

Gdy wieczorem wróciła do domu, jej matka pakowała rzeczy.

- Ojciec umówił się już z panem Stokesem - powiedziała.
- Za trzy dni wywiezie meble. - Uśmiechnęła się radośnie do córki. - Och, kochanie, jakie to cudowne! Nie mogę w to uwierzyć. Jesteśmy, tacy szczęśliwi. Jaka szkoda, że nie możesz już teraz z nami pojechać. Martwię się, że zostaniesz tu sama...

- Och, nie martw się, mamó - powiedziała Emmy, pomagając pakować porcelanę. - Cały dzień będę w pracy; dni miną szybko. A święta spędzimy już razem, z dala stąd.

- Nie lubiłaś tego miejsca, prawda, kochanie? - Pani Foster zabrała się za pakowanie książek. - Ja i ojciec także. Ale w Littleton Mangate będziemy mogli zapomnieć o Londynie. A gdy sprzedamy ten dom, zostanie nam nawet trochę pieniędzy! Wystarczy, byś mogła pójść do szkoły, którą sobie wybierzesz. Poznasz tam rówieśników... - rozmarzyła się pani Foster.

Emmy przytaknęła i odwzajemniła uśmiech, ale wbrew własnej woli pomyślała o profesorze.

On również o niej myślał. Spędzał długie i pracowite dni w szpitalach - w Lejdzie, Hadze, Amsterdamie - ale gdy wieczorami wracał do domu, miał dużo czasu na rozmyślanie. Anneliese przebywała we Francji, tak więc cały wolny czas należał niepodzielnie do niego.

Każdego wieczoru, gdy skręcał na podjazd prowadzący do jego posiadłości, wzdychał z zadowoleniem. Dom był stary, dostojny, osłonięty wydmami, z którego na północ i południe, aż po horyzont Morza Północnego, rozciągał się widok na wielkie łachy piachu. Ten wielki dom o wysokich, wąskich oknach i masywnych frontowych drzwiach wybudował jego pradziad. Ruerd urodził się tu i wychował. I zawsze powracał tu z najwię-

kszą chęcią. Również dwie jego siostry - mężatki oraz młodszy brat, studiujący jeszcze medycynę, odwiedzali rodzinny dom, ale należał on do Ruerda. Ich ojciec, emerytowany chirurg, i matka mieszkali obecnie w Hadze.

Dziś profesor Mennolt spędził męczący dzień w klinice w Rotterdamie. Wysiadając z samochodu, z przyjemnością popatrzył w oświetlone okna. Przez otwarte drzwi wybiegły mu na powitanie dwa psy; wilczur irlandzki i spaniel. Razem weszli do domu, do dużego kwadratowego holu, którego podłoga wyłożona była czarno-białą, marmurową szachownicą, a na ścianach wisiały stare obrazy w złotych ramach.

Niski, starszy kamerdyner otworzył przed profesorem podwójne drzwi znajdujące się z prawej strony holu. Profesor wszedł do salonu, gdzie przed wielkim, marmurowym kominkiem stał okrągły mahoniowy stół w stylu regencji, po obu zaś jego stronach przepastne sofy. W orzechowych serwantkach, wypełnionych srebrami i porcelaną, odbijało się światło kryształowego żyrandola i kinkietów z pozłacanego brązu. Z okien salonu rozciągał się widok na ogród.

Profesor nalał sobie drinka z butelki stojącej na stole i rozsiadł się w wysokim fotelu przed kominkiem. Spaniel wskoczył mu na kolana, wilczur zaś położył się u jego stóp. Spokojny wieczór... Z przyjemnością pomyślał o długim spacerze z psami.

Po chwili kamerdyner przyniósł listy na tacy.

- Żadnych telefonów, Cokker? - spytał profesor.
- Dzwoniła panna van Moule, by panu przypomnieć o jutrzejszej kolacji z jej rodziną.
- Och, zapomniałem! Dziękuję, Cokker.

Po kolacji profesor zabrał psy na spacer. Przemierzył kilka akrów własnej ziemi, potem skręcił w wiejską drogę. Wieczór

był chłodny; wyrazisty księżyc i gwiazdy zapowiadały na noc mróz.

Spacerując, rozmyślał o Ermentrudzie. Z pewnością pan Foster już wiedział, czy otrzymał pracę w Littleton... Niewątpliwie Ermentruda poinformuje go o tym, gdy wróci do St Luke. Zapewne złoży wymówienie i wyjedzie do Dorset z rodzicami, a on jej więcej nie zobaczy... Tym lepiej, powtarzał sobie. To było tylko chwilowe zauroczenie... A może nawet nie to? Po prostu wykorzystał sposobność, by trochę pomóc jej w życiu.

- Ona będzie bardzo szczęśliwa, gdy wróci na prowincję - powiedział do Solly, wilczura, i zatrzymał się, by wziąć zmęczonego Tipa na rękę, a potem zawrócił w stronę domu.

Później, gdy leżał na łożu z baldachimem, znów przyszła mu na myśl Ermentruda.

- Do licha z tą dziewczyną! - Głos profesora zabrzmiał głucho w pustym pokoju. - Mam nadzieję, że już jej nie będzie w St Luke, gdy tam wrócę!

W jego starannie uporządkowane życie wdarła się całkiem przeciętna dziewczyna, która w dodatku dawała mu jasno do zrozumienia, że jej na nim nie zależy... Spał źle tej nocy i obudził się w paskudnym humorze.

Dopiero wieczorem, gdy siedział obok pięknej Anneliese na kolacji u jej rodziców, udało mu się zapomnieć o Ermentrudzie.

Anneliese była w doskonałej formie. Wiedziała, że wygląda zachwycająco, i roztaczała cały swój urok. Potrafiła nawet słuchać z zainteresowaniem, gdy mówił o organizacji służby zdrowia w Wielkiej Brytanii.

- Jaka szkoda, że musisz tam wrócić przed Bożym Narodzeniem - wtrąciła. - Ale na święta oczywiście przyjedziesz, prawda? Przyjedziemy do ciebie z mamą, żeby omówić przygotowania do ślubu... - Coś jej podpowiadało, żeby nie kontynuowała tego wątku. Powiedziała natomiast: - Widujesz czasem tę

dziewczynę, która pracuje w St Luke? - I nim zdołał odpowiedzieć, wyjaśniła zebranych przy stole: - Ruerd był w szpitalu, w czasie gdy nieopodal wybuchła bomba. To było niezwykle ekscytujące przeżycie, a potem odwiózł do domu pewną pracownicę szpitala. Przypuszczam, że była w szoku. Widziałam ją, gdy byłam w Londynie. Bardzo zwyczajna dziewczyna, zupełnie nie w typie Ruerda. Mam rację, kochanie?

Profesor starał się pohamować wybuch gniewu.

- Panna Foster to odważna, młoda dama. Nikt z nas nie zna jej tak dobrze, by o niej rozmawiać.

Anneliese wybuchła krótkim śmiechem.

- Och, Ruerd, nie zamierzałam być nieuprzejma. Wybacz mi... - Dotknęła lekko jego ramienia. - Powiedz lepiej, co myślisz o nowym szpitalu? Byłeś tam wczoraj, prawda?

Reszta wieczoru upłynęła w miłym nastroju, ale wracając do domu, profesor uświadomił sobie, że wcale nie czuł się wypoczęty. Właściwie nigdy nie przepadał za rodziną i przyjaciółmi Anneliese i miał nadzieję, że po ślubie będą prowadzić spokojniejsze życie. Nagle, gdy próbował wyobrazić sobie siebie z Anneliese po ślubie, okazało się to niemożliwe.

Gdy prosił ją o rękę, wydawała się najbardziej odpowiednią kandydatką. Zainteresowana jego pracą i przyjaciółmi, mówiła, że chętnie zamieszka na prowincji, z dziećmi, oczywiście, i psami, i końmi... Uwierzył jej.

Ale tego wieczoru usłyszał, jak skarżyła się jednej z przyjaciółek, że, niestety, musi odwiedzić kuzynkę, która ma małe dzieci...

- Co za nuda! - powiedziała.

- Dzieci powinny pozostawać z opiekunką w dziecięcym apartamencie, aż wystarczająco dorosną, by przebywać z dorosłymi - wtórowała jej matka, surowa, apodyktyczna matrona.

- Najlepszym rozwiązaniem jest dobra niania, prawda, Anne-liese?

Słowa te, dźwięczące teraz echem w głowie profesora, przejęły go dziwnym lękiem.

Emmy w tych dniach była bardzo zajęta. I jednocześnie niezwykle szczęśliwa. W każdym razie powtarzała to sobie po kilka razy dziennie. Powrót na wieś, to jakby powrót do rajcu... Me czy życie mogło być rajem, jeśli nic będzie w nim profesora? Cóż, sama tego chciała...

Pan Stokes wraz ze swymi pracownikami załadował już meble do furgonetki, pozostawiając tylko nie tkniętą sypialnię Emmy oraz kilka mebli kuchennych niezbędnych do życia.

- To długo nie potrwa - pocieszała Emmy swą matkę. - Już jutro dwie osoby przychodzą obejrzeć dom. Jestem pewna, że sprzedamy go przed moim wyjazdem.

- Będziesz jadała obiady w szpitalu? - upewniała się pani Foster z niepokojem. - I nastawiaj elektryczne ogrzewanie, gdy będziesz w domu. Puste domy są bardzo zimne. - Zmarszczyła brwi. - Ciagle zastanawiam się nad jakimś lepszym rozwiązaniem...

- Przestań się zamartwiać, mamu. Naprawdę dam sobie radę. Czas szybko leci.

Pracowała dziś na nocną zmianę, tak że zdążyła pożegnać matkę, która wraz z panem Stokesem odjechała do nowego domu. Gdy furgonetka zniknęła za zakrętem, Emmy weszła do kuchni i zrobiła sobie kawę. Dom bez mebli wyglądał naprawdę nędznie i nieprzytulnie. W dodatku bez zwierzątek było w nim bardzo smutno. Emmy przygotowała sobie posiłek na wieczór i położyła się do łóżka. Pozostał już tylko miesiąc pracy... Uśmiechnęła się z satysfakcją i usnęła.

Tego wieczoru, ledwie zdążyła pojawić się w pracy, Audrey wybuchła:

- Co za bezczelność! I nic się już nie da zrobić. Przynajmniej tak mi powiedziano. Reorganizacja, rozumiesz? Konieczność obniżki kosztów!

Emmy wzięła kopertę, którą podała jej koleżanka.

- O co chodzi? - spytała. - O czym ty mówisz?

- Sama przeczytaj. Idę już do domu i nie spodziewaj się, że mnie jutro zobaczysz!

Emmy usiadła i z zaciekawieniem otworzyła kopertę.

Przeczytała, że w szpitalu szykują się zmiany i jej usługi nie będą już dłużej potrzebne. Szpital St Luke łączy się bowiem z pobliskim szpitalem Bennett, i oba szpitale redukują personel techniczny. Podkreślono, że otrzyma odpowiednie referencje i podziękowano jej za pracę już od piątku.

Raz jeszcze przeczytała tekst, by upewnić się, że wszystko dobrze zrozumiała. Ale jego sens był oczywisty - za dwa dni kończyła pracę.

Oczywiście, mogłaby od razu pojechać do rodziców, ale wtedy zmalałyby szanse na szybką sprzedaż domu. Należało być na miejscu, przypominać o sobie agentom, pokazywać dom potencjalnym nabywcom. Postanowiła nic nie mówić rodzicom. Da sobie jakoś radę, otrzyma przecież tygodniówkę, a poza tym miesięczną odprawę, skoro wypowiedziano jej pracę.

Och, gdyby mogła o tym z kimś porozmawiać... Profesor byłby idealny...

Gdy pojawił się portier z kawą i powiedział, że również jego zwolniono, zapomniała na chwilę o własnych kłopotach.

- Zapropionowano mi pracę w innym szpitalu - mówił zdenerwowany. - Mniej pieniędzy i dłuższy dojazd. Ale chyba nic mam wyboru, prawda? Z żoną i dzieckiem na utrzymaniu...
- Zerknął na Emmy z ukosa. - A co pani zrobi?

- Dam sobie radę. A panu życzę szczęścia na nowym miejscu. I dziękuję za kawę.

Emmy początkowo nic uwierzyła w słowa Audrey, że rano już jej nie zobaczy. Ale okazało się to prawdą. Gdy wieczorem z pewnym opóźnieniem wychodziła z pracy, była zbyt zmęczona, by zwracać uwagę na lodowaty deszcz i ołowiane niebo. Ugotuję sobie jajko, zaparzę herbatę i pójdę do łóżka, myślała rozsądnie. A gdy się wyśpię, przemyślę wszystkie ostatnie wydarzenia. Jedno było pewne: nic już nie mogła zmienić.

Gdy wstała późnym popołudniem, miała jeszcze mnóstwo czasu na rozmyślenia. Za oknem było już ciemno i nadal padało. Wzięła orzeźwiający prysznic, wypita herbatę i zaczęła robić plany na najbliższe dni. Postanowiła jutro rano, w drodze z pracy do domu, wstąpić do agencji nieruchomości, by przyspieszyć sprzedaż domu. Na rynku, co prawda, panował zastój, jak poinformowano jej ojca, ale dom był nieduży, w zupełnie dobrym stanie, a jego cena całkiem umiarkowana.

Emmy oddała się marzeniom. Będą mieć trochę pieniędzy... Nie za wiele, ale być może wystarczy na nowe ubrania, a może nawet na wakacje... I wreszcie stanie przed szansą kontynuowania nauki. Może zapisze się na wieczorowe kursy rękodzieła artystycznego? A potem otworzy mały sklep...? Och, było bardzo dużo różnych możliwości.

Zjadła kolację i po raz ostatni wyszła do szpitala.

Miała dość pracowitą noc; po zakończeniu pracy pożegnała się z koleżankami i przekazała swe obowiązki starszej kobiecie, która przysłała na jej miejsce ze szpitala Bennett. Wreszcie z wyplatą w torebce opuściła ponury gmach szpitala.

W agencji nieruchomości dowiedziała się, że domem interesowało się kilka osób.

- Skoro pani nie pracuje - powiedział agent o twarzy jaszczurki - klienci mogą oglądać dom przez cały dzień, prawda?

- Wołałabym, aby przychodzili dopiero po godzinie trzynastej - wtrąciła Emmy. - Wtedy już cały czas będę w domu.

- Dobrze, panno Foster. Ale dwie zainteresowane osoby mogą pojawić się dziś o każdej porze. Tak ustaliłem wcześniej.

Emmy nie mogła więc położyć się do łóżka. Zjadła śniadanie, trochę posprzątała i usiadła w kuchni na krześle. Nie zdążyła się zorientować, gdy zasnęła. Obudził ją dźwięk dzwonka do drzwi. Mężczyzna i kobieta w średnim wieku, których wpuściła do środka, mieli kwaśne miny.

- Będziecie mieć szczęście, jeśli go sprzedacie za pół tej ceny - rzucił mężczyzna na odchodnym.

Emmy nie odezwała się ani słowem.

Następna para pojawiła się późnym popołudniem. Bez pośpiechu oglądali dom i Emmy zaczynała nabierać nadziei.

- Jest o wiele lepszy niż większość domów, które oglądaliśmy - powiedziała wreszcie kobieta. - Szkoda, że nie mamy za co go kupić. Ale przynajmniej wiemy, co moglibyśmy kupić, gdybyśmy mieli pieniądze. - Uśmiechnęła się do Emmy. - Miło było panią poznać.

Niezbyt obiecujący początek, pomyślała Emmy, zamykając za nimi drzwi. Może jutro będzie lepiej. Ale czy ludzie w ogóle przychodzą w sobotę...?

Po dobrze przespanej nocy miała lepszy nastrój. Ostatecznie, dopiero od kilku dni dom był wystawiony na sprzedaż.

Nikt jednak nie pojawił się ani w sobotę, ani w następne dni. W piątek napisała pogodny list do rodziców, zrobiła zakupy i resztę dnia spędziła w oczekiwaniu na klientów. Ale nikt nie zadzwonił.

Profesor, który przyjechał na kilka dni do Londynu, wszedł do szpitala i zatrzymał się przy centrali telefonicznej. Nie chciał

się do tego przyznać, ale tęsknił za spotkaniem z Emmy. Ciekaw był, czy jej ojciec dostał już pracę. Emmy pewnie złożyła już wypowiedzenie... Cóż, będzie mu jej brakować.

Poczuł zaskoczenie, widząc na miejscu Emmy starszą kobietę.

- Czy panna Foster jest chora? - spytał uprzejmie.

- Nie, proszę pana. Odeszła. Dostała wypowiedzenie wraz z wieloma innymi pracownikami szpitala. Zredukowano liczbę personelu technicznego.

Podziękował za wiadomość i poszedł do swego gabinetu. Nie był zmartwiony. Ermentruda z pewnością pojechała już z rodzicami do Dorset. Zadzwoeni do przyjaciela i upewni się, czy wszystko poszło zgodnie z planem. Na pewno będzie szczęśliwa na prowincji. T szybko o nim zapomni. Gdyby tylko on też mógł o niej zapomnieć...

Wyszedł ze szpitala trochę wcześniej niż zazwyczaj i wiedziony impulsem, zamiast pojechać prosto do domu, skręcił w uliczkę, gdzie mieszkała Emmy. Zatrzymał się przed domem. Na drzwiach wisiała tabliczka: „Na sprzedaż”, a zasłony na parterze były zaciągnięte. Zauważył jednak smugę światła. Bez zastanowienia wysiadł z samochodu i zapukał do drzwi.

Emmy odstawiła puszkę z fasolką, którą właśnie otwierała. Nareszcie pojawił się kolejny klient... Zapaliła światło w korytarzu i podeszła do drzwi; przezornie, nim otworzyła, zaciągnęła łańcuch. Gdy rozpoznała stojącą na podeście postać, serce podskoczyło jej ze szczęścia.

- To ja! - powiedział profesor lekko zniecierpliwionym tonem. Gdy otworzyła drzwi, wszedł do środka z dużą pewnością siebie.

- Dzień dobry panu - powiedziała nieśmiało Emmy. - Wrócił pan do Anglii? Nie spodziewałam się...

Profesor zauważył pusty salon i prawie pustą kuchnię.

Wziął Emmy pod ramię i poprowadził do kuchni, jakby był u siebie.

- Dlaczego jest pani sama w pustym domu? - spytał.
- Och, to długa historia...
- Mam mnóstwo czasu - odparł stanowczo. - Proszę mi ją opowiedzieć.

Emmy opowiedziała mu całą prawdę.

- Jak pan widzi, cudownie się ułożyło - zakończyła. - Musimy tylko sprzedać ten dom. Dlatego tu jestem...

- Została pani sama? Bez mebli, bez wygod?

- Niewiele potrzebuję. Oczywiście, myślałam, że będę w szpitalu przez cały dzień albo noc, ale skoro dostałam wcześniej wymówienie... W gruncie rzeczy - dodała z optymizmem - dobrze się stało, ponieważ mogę codziennie być w domu, żeby przyjmować potencjalnych klientów.

- Jest duże zainteresowanie?

- Niezbyt wielkie. Dom nie jest szczególnie atrakcyjny.

- Pojedzie pani na święta do rodziców? - spytał. - A może ma pani na oku jakąś pracę?

- Oczywiście, że pojadę. A jeśli chodzi o pracę... Cóż, nie miałam jeszcze na to czasu. -I dodała: - Być może zapiszę się na kursy rękodzieła artystycznego... - Nie rozwijała tematu, ponieważ profesor nie wykazywał zainteresowania. Zamiast tego spytała: - Przyjemnie spędził pan czas w Holandii?

- Tak. A teraz proszę spakować torbę, Ermentrudo. Pojedzie pani ze mną.

- Nigdzie nie pojadę! Dokąd? Czuję się tutaj świetnie. I muszę pokazywać ludziom dom. - Po chwili namysłu dodała: - Co sobie pomyśli pańska narzeczona? To znaczy, ona nie wie, że wcale się nie lubimy... - Na policzki Emmy wypłynął rumieniec. - Chyba źle się wyraziłam...

- Całkiem jasno się pani wyraziła. Rozumiem, że nie potrzebuje pani mojej pomocy. - Profesor wstał. - Do widzenia, Ermcentrudo. - I nie czekając na jej odpowiedź, opuścił dom.

Emmy długo wsłuchiwała się w odgłos odjeżdżającego samochodu. Gdy nic już nie było słychać, usiadła z powrotem na krześle, usiłując opanować łzy. Po dłuższej chwili z trudem się podniosła, zrobiła sobie kolację i poszła spać.

Obudził ją jakiś dźwięk. Usiadła na łóżku, nasłuchując odgłosów dobiegających z dołu. Dźwięk przypominał ukradkowe szuranie... Poderwała się z łóżka, nim zdążyła na dobre się przestraszyć. Włożyła szlafrok, kaptcie i chwyciła jedyną broń, jaką miała pod ręką - zostawiony przypadkowo przez ojca parasol. Cicho otworzyła drzwi i wyjrzała na schody. Na dole ktoś był - ktoś skradał się z latarką. Na dodatek drzwi wejściowe były otwarte.

Co za tupet! - pomyślała ze złością Emmy. Zbiegła na dół i zapaliła światło. Jakiś mężczyzna wybiegł z pustego salonu i zdziwiony stanął w drzwiach do holu. Był młody, twarz miał przysłoniętą chustką.

- O rany! - roześmiał się szyderczo. - Pusty dom i dziewczyna! Sama tu jesteś? Dawaj pieniądze, jazda!

- Wynos się stąd! - Dźgnęła go energicznie parasolem. - No już! - Dźgnęła go raz jeszcze. Mężczyzna cofnął się w stronę drzwi. Posuwała się za nim z parasolem postawionym na sztorc. Dumna ze swej odwagi, wyszła za nim na zewnętrzny podest, zupełnie nie podejrzewając, że za drzwiami stoi jego towarzysz. Zdążyła usłyszeć czyjś głos, a potem dostała silny cios w głowę.

Dłuższą chwilę leżała nieprzytomna. Pan Grant, który przez okno zobaczył światła, a potem dwóch uciekających napastników, podbiegł do leżącej Emmy. Była bardzo blada i nie reagowała na jego głos. Pobiegł do domu naprzeciwko i zadzwonił.

- Zejdź na dół! - krzyczał. - Ermentruda jest ranna.

Po chwili młody chłopak pojawił się na zewnątrz.

- Złodzieje? - dziwił się nastolatek. - No tak, teraz kradną wszystko... - Pochylił się nad Emmy i wziął ją na ręce. W kuchni posadził ją na krześle. - Proszę nastawić wodę - zwrócił się do pana Granta. - Pójdę po telefon.

Gdy wrócił do kuchni, Emmy otworzyła już oczy.

- Okropnie boli mnie głowa - powiedziała słabym głosem.

- Chyba ktoś mnie uderzył...?

- Do kogo mam zadzwonić? - spytał jej młodociany sąsiad.

- Trzeba sprowadzić lekarza i policję. - Stał przez chwilę i bacznie jej się przyglądał. - Nie możesz tu zostać, to pewne. Masz kogoś, kto mógłby się tobą zaopiekować... ?

Pan Grant przyniósł mokry ręcznik i położył go Emmy na głowie. Miała mdłości, czuła się przestraszona i nie przychodził jej do głowy nikt, kto mógłby jej pomóc... Ależ tak, ktoś był! On z pewnością jej pomoże... Pamiętała jego numer, ponieważ wiele razy dzwoniła do niego ze szpitala.

- Tak, proszę go zawiadomić - powiedziała nieprzytomnie do chłopaka. - Poproś, żeby przyjechał. - Podała sąsiadowi numer telefonu i zamknęła oczy.

- Przyjedzie za kwadrans - powiedział po chwili nastolatek.

- O tej porze, na szczęście, ulice świecą pustkami. Czy coś ci ukradli?

- Tutaj nic nie ma - odparła Emmy. - Moja torba i portmonek były na górze, a tak daleko nie doszli. -I dodała zmęczonym głosem: - Bardzo panom dziękuję za pomoc. Naprawdę jestem wdzięczna.

Pan Grant podał jej filiżankę z herbatą. Chwyciła ją drżącymi rękami i usiłowała wypić. Chłopak w tym czasie dzwonił na policję.

- Zaraz zwymiotuję... - zawołała nagle Emmy i pochyliła się nad zlewem.

W takiej pozycji kilka minut później znalazł ją profesor. Emmy nic zważała już na nic ani na nikogo. Gdy poczuła dużą, chłodną dłoń profesora na swojej ręce, wymamrotała:

- Wiedziałam, że pan przyjedzie... Niedobrze mi i boli mnie głowa.

- Wcale się nie dziwię. - Otworzył torbę. - Ma pani na głowie guza wielkości kurzego jaja.

Dotyk jego dłoni był bardzo delikatny. Prawie nie czuła, gdy zajmował się jej lekko krwawiącym guzem.

Pan Grant i młodzieniec z przeciwka opowiadali tymczasem, co się wydarzało.

- Co z policją? - wtrącił profesor.

- Powiedzieli, że już jada.

- Tylko dzięki panów szybkiej pomocy i odwadze Ermentruda nie jest poważnie ranna - powiedział profesor z wdzięcznością. - Zabiorę ją do szpitala zaraz po odejście policji.

Przyjechali kilka minut później. Pan Grant i chłopak złożyli wyjaśnienia. Ermentrudę ze względu na jej stan postanowiono przesłuchać później.

- Zamkniemy drzwi, a klucze zabierzemy na posterunek - powiedział jeden z policjantów. - Nikt tu nie mieszka, prawda?

- Ja tu mieszkam - odezwała się nieoczekiwanie Ermentruda. - Jeszcze tylko przez kilkanaście dni, zanim nie sprzedamy domu... - Lekko otworzyła oczy, a potem znów je zamknęła.

- Panna Foster została tu sama na pewien czas, aby wszystko załatwić - wtrącił się profesor. I dodał: - Oczywiście, z pewnością zechcecie ją przesłuchać. Będzie mieszkać u mnie. - Podał swój adres, ignorując niewyraźne protesty Emmy. - A teraz poproszę o koc. Zabieram ją prosto do szpitala na prześwietlenie.

Do Emmy wszystko docierało jak przez mgłę. Pomysł profesora całkowicie jej się nie podobał. Powinna coś powiedzieć. Jednak zbyt szybko uniosła głowę i musiała ją z powrotem po-

chylić. Profesor przytrzymał jej brodę w fachowy sposób, inni zaś dyskretnie odwrócili wzrok.

- Gdzie jest koc? - ponowił prośbę profesor.

Chłopak poszedł na górę i po chwili przyniósł torebkę Emmy oraz kapę z jej łóżka. Profesor doprowadził Emmy do porządku, a potem owinał ją w koc i wziął na ręce. Podziękował sąsiadom i policjantom i poszedł do samochodu, gdzie troskliwie ją usadowił. Gdy znów zaczęła protestować, uspokoił ją bardzo delikatnym tonem. Po chwili zamknęła oczy i położyła głowę na miękkim oparciu fotela.

W szpitalu zawieziono ją prosto na prześwietlenie. Ledwie zdawała sobie sprawę, że rentgenolog skarżył się na coś profesorowi. Miała wrażenie, że godzinę leżała na kozetce.

- Nic się nie stało - pocieszył ją profesor. - Opatrzę teraz ranę, a potem zaśniesz.

Przewieziono ją do ambulatorium. Profesor, pochylony nad jej głową, opatrywał zranienie, zerkając raz po raz w jej oczy. Była półprzytomna, jego cichy głos, przerywany rześkimi okrzykami pielęgniarek, działał na nią kojąco. Właściwie przestawało ją obchodzić, co będzie potem.

Gdy raz jeszcze wziął ją na ręce i posadził w samochodzie, powiedziała tylko:

- Nie tutaj...

Profesor nie odezwał się, więc po prostu zamknęła oczy. W szpitalu dano jej jakieś tabletki, prawie nie czuła już bólu, tylko ogarniającą ją senność.

Beaker czekał już w drzwiach, gdy dotarli do domu profesora.

- Czy pani Burge przyszła? - spytał profesor, wnosząc Emmy do holu, a potem wstępując na schody.

- Czeka na górze, proszę pana - odparł kamerdyner. - Wielki Boże! Biedna, młoda dama... Uderzono ją w głowę, czy tak?

- Opowiem ci wszystko potem, Beaker. Napiłbym się czegoś, spodziewam się, że dotrzymasz mi towarzystwa. Czy pani Burge protestowała?

- Ależ skąd! Obiecała, że zostanie tak długo, jak będzie trzeba.

- Doskonale - odrzekł profesor, wnosząc na górę Emmy. Pani Burge czekała na niego na podeście.

- Proszę położyć ją w pokoju gościnnym - komenderowała.
- Zaraz się nią zajmę.

Pani Burge była wysoką, kościstą kobietą o ostrych rysach twarzy i włosach zebranych w staromodny kok. Przychodziła codziennie pomagać Beckerowi. Od pierwszej chwili dała wszystkim do zrozumienia, że nie ze swej winy znalazła się w kłopotach i musi zarabiać na życie.

Beaker pozostawał z nią w dobrych stosunkach. Pani Burge ze swej strony nabrała takiego szacunku i podziwu dla profesora, że ze stoickim spokojem przybyła w środku nocy na jego wezwanie.

- Proszę ją zostawić mnie, a samemu trochę odpocząć - zarządziła. - Ma pan przed sobą ciężki dzień.

- Dobrze, pani Burge - zgodził się potulnie profesor i dodał, że chce się upewnić, że Emmy ma regularny puls i śpi spokojnie.

- Wiem, że zostawiam ją w dobrych rękach - dodał, co sprawiło pani Burge wyraźną przyjemność.

Mimo apodyktycznego wyglądu i stylu zachowania była kobietą o miękkim sercu. Ułożyła śpiącą Emmy na łóżku i przyciągnęła lampkę.

- Śpi jak dziecko - zwróciła się do profesora.

Profesor pochylił się nad łóżkiem, sprawdził Emmy puls, a drugą ręką dotknął jej czoła.

- Zostawiam dla niej tabletki - powiedział. - Proszę dopilnować, by dużo piła, a jeśli zechce coś zjeść, to tym lepiej. Dwa

dni w łóżku i całkiem wróci do siebie. Przeszła lekki wstrząs mózgu. -I dodał: - Za godzinę muszę być w szpitalu i pozosta-
nę tam przez cały dzień. Proszę do mnie zadzwonić, gdyby
działo się coś niepokojącego. Za chwilę zastąpię panią, by mogła
pani zjeść śniadanie.

Wyszedł, żeby wziąć prysznic, przebrać się i coś zjeść. Gdy
wrócił, pani Burge zeszła do kuchni.

Profesor usiadł w fotelu i przyglądał się Emmy. Pasowała do
tego pokoju... To był nieduży pokój, ale uroczy, z białymi meblami
i ścianami pokrytymi tapetą w drobny wzór- jasnoróżowe
róże o zielonych listkach. W oknach wisiały delikatne, białe
zasłony. W pokoju tym nocowały córki jego siostry podczas
wizyt w Londynie. „Gdy się ożenisz, Ruerd - powiedziała mu
kiedyś siostra - będzie w sam raz dla twojej córki”.

Emmy z włosami rozrzuconymi na poduszce wyglądała nad-
zwyczaj młodo i bardzo ładnie... Wcale nie wydawała mu się
przeciętna. Gdy pani Burge wróciła, pochylił się raz jeszcze nad
łóżkiem i z ledwością pohamował się, by nie pocałować śpiącej
dziewczyny.

Emmy obudziła się późnym popołudniem. Gdy spojrzała na
panią Burge, już miała spytać się, gdzie jest, ale przypomniała
sobie, że takie pytanie zadają zwykle bohaterki książek.

- Czuję się doskonale - powiedziała. - Chciałabym wstać.

- Zaraz przyniosę herbatę i coś na przekąskę - oświadczyła
pani Burge. - Powinna pani jeszcze poleżeć, kochanie. Podłóżę
poduszkę... O tak!

- Wiem, że zabrano mnie do szpitala, a potem zasnąłam
- powiedziała Emmy. - Nie pamiętam, co było dalej...

- W domu profesora Mennolta jest pani bezpieczna i pod
dobrą opieką. Profesor pojechał do szpitala, ale wieczorem wró-
ci do domu.

- Nie mogę tu zostać. - Emmy raptownie usiadła na łóżku.
- W domu nikogo nie ma... Agent nieruchomości nie będzie wiedział kogo informować, gdy pojawi się nabywca.

- Profesor z pewnością się tym zajmie - zapewniła ją pani Burge. - Pomyśli, co trzeba zrobić.

Wyszła, a po chwili wróciła ze szklanką soku.

- Proszę pić - zachęciła. - Beaker zaraz przygotuje lunch, a potem znów trzeba się zdrzemnąć.

- Czuję się już dobrze i mogę wstać - powiedziała Emmy, ale pani Burge jej nie słuchała.

- Zostaniesz tu, aż pozwolę ci wstać z łóżka - usłyszała rozkazujący głos profesora Mennolta. - Czujesz się już lepiej, Ermentrudo? - Chyba po raz pierwszy odezwał się do niej po imieniu.

- Tak, dziękuję. Przepraszam, że przysparzam panu tylu kłopotów. Czy nie mogłam zostać w szpitalu, a potem wrócić do domu?

- Nie - odparł. - Zostaniesz tu dziś i jutro, a potem zdecydujemy, co dalej. Dzwoniłem do agencji nieruchomości. Mają klucze od twego domu i zajmą się wszystkim. Dziś po południu przyjedzie ktoś z policji, żeby cię przesłuchać, oczywiście, jeśli będziesz czuła się na siłach.

- Jest pan bardzo miły. Jestem ogromnie wdzięczna. Ale jutro na pewno poczuję się już dobrze i będę mogła pójść...

- Dokąd, Ermentrudo? - Stał w nogach łóżka i pochylony do przodu, przyglądał jej się uważnie.

- Jestem pewna, że pani Grimes zgodzi się, bym nocowała u niej. - Wypiła łyk herbaty.

- Pani Grimes, ta kobieta o donośnym głosie? Nie opowiadaj głupstw, Ermentrudo... - Przerwał, ponieważ pani Burge pojawiła się z tacą. - Oto twój lunch. Zjedz wszystko i dobrze popij. Wrócę wieczorem.

Pojechał do szpitala. Aby zobaczyć Ermentrudę, zrezygnował z lunchu, tak więc przed przyjęciem pierwszego pacjenta zdążył wypić tylko filiżankę kawy.

Emmy zjadła lunch pod czujnym okiem pani Burge, a potem, ku własnemu zdziwieniu, znów zapadła w sen. Gdy się obudziła, czekała już kolejna taca - tym razem z podwieczorkiem, pani Burge zaś podała jej cienką jak pajęczyna nocną koszulę.

- Jeśli czuje się pani na siłach, proszę wziąć kąpiel. Oto koszula siostry profesora, będzie pani w niej wygodniej.

- Czy ktoś mógłby przywieźć moje rzeczy, bym mogła ubrać się i pojechać jutro do domu? - spytała Emmy.

- Beaker może mnie zawieźć - odparła pani Burge. - Proszę powiedzieć tylko, co potrzeba. Profesor ma klucze.

- Dziękuję, jest pani bardzo miła. Siedziała tu pani przez całą noc?

- Tak. Beaker przywiózł mnie o trzeciej w nocy.

- Pewnie jest pani bardzo zmęczona. Czuję się już dobrze. Proszę iść do domu i się przespać - namawiała Emmy, ale pani Burge nie dała za wygraną:

- O mnie się nic martw, kochanie. Co z kąpielą?

Emmy, gdy ostrożnie podniosła się z łóżka, ze zdumieniem stwierdziła, że nadal boli ją głowa. Przez chwilę zawahała się, jakby znów chciała opaść na poduszki. Myśl jednak, że profesor oglądają w tak opłakanym stanie, sprawiła, że pokonała własną słabość.

Gdy siedziała w ciepłej, aromatycznej wodzie, a pani Burge delikatnie myła ją gąbką, czuła się znów znakomicie.

- Chyba nie mogę jeszcze umyć głowy? - spytała.

- Raczej nie, kochanie. Uczeszę panią trochę, ale nie śmiem robić niczego, zanim profesor się nic zgodzi.

- To tylko małe skaleczenie - bagatelizowała Emmy, ale jej opiekunka była nieprzejednana.

Osuszona, wyperfumowana i ubrana w tak piękny szlafrok, o jakim tylko mogła marzyć, usiadła ostrożnie w fotelu, pani Burge zaś ponownie posłała łóżko i przetrzepała poduszki. Emmy, znalazłszy się w pościeli, odetchnęła z ulgą. Nie minęło kilka minut, gdy znów zasnęła.

Nadal spała, gdy profesor wrócił do domu. Stał nad łóżkiem Emmy ponad minutę i patrzył na nią dziwnym wzrokiem, jego samego zaś obserwowała pani Burge.

Razem wyszli z pokoju.

- Proszę iść do domu, pani Burge - powiedział jej. - I bardzo pani dziękuję za pomoc. Jeszcze jeden dzień odpoczynku i myślę, że będę mógł odwiedzić Ermentrudę do Dorset, gdzie przebywają jej rodzice.

- Proszę wybaczyć, profesorze - kobieta skrzyżowała ręce na piersi - ale wrócę jeszcze dziś wieczorem i będę tu spać.

- To bardzo uprzejmie z pani strony - powiedział profesor poważnym tonem.

- Dopilnuję, by ta młoda dama jutro poczuła się lepiej.

- Będę miał wobec pani dług wdzięczności. Czy pokój dla pani jest gotów?

- Sama się tym zajmę. - Kobieta zawahała się. - Panna Ermentruda prosiła, by ktoś wieczorem pojechał po jej rzeczy. Powiedziałam, że ja pojedę...

- Zawiozę panią - zaoferował. - Proszę tylko spytać, czego potrzebuje.

Gdy Emmy obudziła się i poczuła nieco lepiej, zrobiła listę potrzebnych rzeczy. A potem, gdy pani Burge wyszła, choć nadal trochę bolała ją głowa, zaczęła robić plany na przyszłość. Gdy już profesor oznajmił, że jest zdrowa, wróci do domu... Co prawda, nie miała wielkiej ochoty mieszkać tam sama, ale pocieszała się myślą, że piorun nigdy nie uderza dwa razy w to samo drzewo. Poza tym powinna raz

jeszcze odwiedzić agencję, a do świąt zostały tylko dwa tygodnie.

Te rozważania przerwało pojawienie się profesora z tacą.

- Beaker bardzo się starał - powiedział. - Proszę zjeść wszystko. - Postawił jej na kolanach specjalną podstawkę, a na niej tacę z kolacją. Potem poprawił poduszki. - Jutro pewnie już będziesz mogła wstać, podreptać po domu, a może nawet wyjść do ogrodu. Musisz tylko ciepło się ubrać. Pojutrze zawiozę cię do rodziców.

- Jest pan bardzo uprzejmy, ale muszę wrócić do domu. na wypadek gdyby znalazł się kupiec... Jeśli więc nie ma pan nic przeciw temu...

- Mam coś przeciw temu, Ermentrudo - odparł stanowczo. - Jutro zawiadomię agencję i wszystko załatwię. Czy chcesz, bym powiadomił twoich rodziców, co się stało?

- Och, nie! Są zajęci urządzaniem domu, a ojciec przez cały dzień jest w pracy. Mają wystarczająco dużo zmartwień.

- Jak sobie życzysz. Czy pani Burge wie, co ma ci przywieźć?

- Tak, dziękuję. Dałam jej listę. Mam w Londynie niewiele rzeczy, resztę zabrali rodzice.

- W takim razie dobranoc, Ermentrudo: Spij dobrze.

Gdy wyszedł, zjadła przygotowaną przez Beakera kolację. To on przyszedł zabrać tacę, przynosząc świeżą lemoniadę i talerz przepysznych, rozpluwających się w ustach ciasteczek.

- Sam je piekę, proszę pani - pochwalił się z radosnym uśmiechem. - Pani Burge, gdy wróci, przyniesie pani szklanke gorącego mleka.

- Dziękuję, Beaker. Jest pan bardzo miły, a ja przysparzam tyle pracy...

- Nic nie szkodzi, panienko.

- Czyżby to szczekanie Charliego...?

- Och, to wspaniały, pełen werwy pies! Prawdziwa przyjemność się nim opiekować. A Humphrey ma do niego wyraźną słabość. Gdy jutro zejdzie pani na dół, będzie skakał ze szczęścia.

Emmy, gdy została sama, zjadła kilka ciasteczek, wypła lemoniadę i rozmyślała o profesorze. Miał doskonale prowadzony dom... Anneliese, gdy się z nią ożeni, nie będzie miała wiele do roboty. Oczywiście, później zajmie się dziećmi...

Zmarszczyła brwi. Usiłowała wyobrazić sobie Anneliese w otoczeniu gromadki dzieci, jednak bez powodzenia. Zaczęła znów myśleć o profesorze. Lubiła go, ale trudno było się do niego zbliżyć... Właściwie nadal niewiele o nim wiedziała. Ale przecież w jego życiu nie było dla niej miejsca.

Kilka minut później usłyszała trzaśnięcie frontowych drzwi i głośne szczekanie Charliego. Leżała, wpatrując się w drzwi. Po chwili pojawiła się w nich pani Burge z walizką w jednej ręce i szklanką mleka w drugiej.

- Jeszcze pani nie śpi? Przyniosłam wszystko, co trzeba. Profesor Mennolt odwiedził agenta nieruchomości. Na razie nikt nie pytał o dom. Przywiozłam też pocztę. Chce pani teraz przeczytać? - Postawiła mleko na nocnym stoliku. - Najpierw jednak radzę wypić mleko. Już czas na sen.

- Czy jedzie pani już do domu, pani Burge? - spytała nieśmiało Emmy.

- Nie, kochanie. Będę spała w sypialni naprzeciwko. Gdybym była potrzebna... Teraz rozpakuję pani rzeczy.

Emmy stłumiła w sobie rozczarowanie. Profesor nic przyszedł jej zobaczyć... Z pewnością miał jej już dosyć. Wprowadziła tyle zamieszania w jego spokojne życie.

Profesor rozmawiał przez telefon. Po chwili włożył płaszcz, zabrał Charliego do samochodu i z powrotem pojechał do szpitala, ponieważ stan jednego z pacjentów uległ pogorszeniu.

Wrócił do domu godzinę później, zjadł kolację, a potem jeszcze do późna pracował w swym gabinecie, zaś wierny Charlie leżał u jego stóp.

Następnego poranka Emmy stwierdziła, że czuje się doskonale. Ale pani Burge stanowczo nakazała, by śniadanie zjadła w łóżku.

- Profesor już godzinę temu wyszedł do pracy - powiedziała z troską w głosie. - Co za życie! Ani chwili człowiek nie ma dla siebie.

- Taki już los lekarzy - wtrąciła Emmy. - Ale to satysfakcjonująca praca.

- Miejmy nadzieję, że los mu wynagrodzi - powiedziała pani Burge. - Zasługuje na to. Najwyższy czas, żeby jego narzeczona zdecydowała się na ślub. Ale jakie ona ma wymagania! Nie podoba jej się ten dom. Twierdzi, że za mały!

- Za mały? - Emmy odstawiła filiżankę z herbatą. - Przecież to duży dom. To znaczy, wystarczająco duży dla rodziny.

- Rodzina nie ma dla niej znaczenia! - parsknęła sarkastycznie pani Burge. - Ona chce przyjmować gości, wydawać kolacje, przyjmować przyjaciół. I nie lubi Beakera...

Emmy, mimo że nie zamierzała plotkować, ośmieliła się jednak spytać:

- Ależ dlaczego? Przecież to taki miły człowiek...

- I bardzo dba o profesora - dodała pani Burge.

- Pani również, pani Burge.

- Przychodzę codziennie od lat, odkąd profesor kupił ten dom. Och, pięknie go urządził! Słyszałam, że ma również wspaniały dom w Holandii. To rozumiałe. Przebywa tam przez większą część roku. - Podniosła tacę. - A teraz może pani się umyć, ubrać i zejść na dół. Potem spakujemy rzeczy. Jutro rano profesor odwiezie panią do domu.

Zanim Emmy poszła do łazienki, obejrzała guza na głowie. Opuchlizna prawie zniknęła, a ranka się goiła. Patrzyła na swe odbicie w lustrze z dezaprobatą. Wyglądała okropnie. Powinna umyć głowę, zanim ktoś jej tego zabroni...

Gdy po kąpieli, z mokrymi włosami uczesany w warkocz, zeszła na dół, Beaker odkurzał hol.

- Dzień dobry, panienko - powiedział przyjacielskim tonem. - Przygotowałem dla pani kawę w małym saloniku.

Otworzył drzwi do niewielkiego pokoju w głębi korytarza. Stały tu wygodne meble, a w marmurowym kominku płonął ogień. Jeden z foteli przysunięty był do kominka, a na stojącym obok stoliku piętrzyły się gazety. Na podłodze leżał Charlic, machając ogonem na powitanie.

- Jakiż to uroczy dom, Beaker - westchnęła radośnie Emmy.
- Wszystko takie wysprzątane i zadbane.

Beaker pozwolił sobie na uśmiech.

- Jesteśmy tu z moim panem bardzo szczęśliwi - powiedział. - A przynajmniej, mam taką nadzieję. - Cichym krokiem podszedł do drzwi. - Zostawiam panią, aby mogła pani wypić kawę. Lunch będzie o trzynastej.

- Przypuszczam, że profesora nie będzie na lunchu?
- Nie. Wróci dopiero późnym popołudniem. A wieczorem znów jest zajęty.

Po lunchu włożyła płaszcz i wyszła z Charlim do ogrodu. Po chwili jednak wróciła i spytała Beakera:

- Czy myśli pan, że mogłabym zabrać Charliego na spacer?
- spytała.

- Nie sądzę, by Charlie był tym zachwycony, panienko.
- Spojrzył na nią z dezaprobatą. - Dziś rano już był ze swoim panem na długim spacerze. A gdy profesor wróci, znów z nim

wyjdzie. Pani Burge prosiła, bym przekazał, że wróci dopiero wieczorem, żeby pomóc pani w pakowaniu rzeczy. Rozumiem, że wyruszą jutro z samego rana?

Emmy przytaknęła i weszła do salonu. Siedząc z Humphreym na kolanach, a Charlim u swych stóp, przerzucała leżące na stoliku magazyny. Myślała o przyszłości. Święta były tuż tuż. Nie miała już czasu szukać pracy... Na razie zostanie w domu i pomoże w jego urzędowaniu. Trzeba uszyć i zawiesić zasłony, rozpakować resztę rzeczy... Matka pisała, że dom jest uroczy, ale poprzedni lokator nie zabrał jeszcze wszystkich mebli, nie zdążyli więc się w nim zadomowić.

Kilka minut później Beaker przyniósł podwieczorek: tartinki, chrupkie ciasteczka oraz ciasto czekoladowe, które, jak twierdził, upiekł specjalnie dla niej.

Gdy przełykała ostatni kęs, do salonu wszedł profesor. Jego powitanie było serdeczne i przyjacielskie. Usiadł obok niej i spytał, jak się czuje.

- Jutro odwiezę cię do rodziców - powiedział. - Wyjedziemy o ósmej rano. Pojutrze wracam do Holandii. - Wstał i wziął Charliego na smycz. - Idę z nim na spacer - dodał, uśmiechając się dość sztywno.

Nadal siedziała w salonie, gdy godzinę później wrócili ze spaceru. Beaker, który wpuścił do salonu psa, oznajmił, że wróciła pani Burge.

- Za pół godziny podam obiad - powiedział. - Czy napije się pani kieliszeczek sherry?

Emmy skinęła głową. Może alkohol rozproszy jej ponury nastrój...? Nie miała pojęcia, dlaczego czuła takie przygnębienie. Powinna być w siódmym niebie: wreszcie opuszczała Londyn i wyjeżdżała na prowincję, do Dorest. Nic powinna za niczym tęsknić, powtarzała sobie. Profesor będzie zadowolony, że się jej wreszcie pozbędzie. Tyle zamętu wprowadziła w jego życie...

Beaker włożył wiele wysiłku w przygotowanie obiadu: zupa grzybowa, sola z rusztu, puree ziemniaczane, młoda brukselka, na deser zaś tort beżowy. Nalał jej kieliszek wina, mówiąc, że takie było życzenie profesora, który musiał znów wrócić do szpitala.

Wypiła kawę w towarzystwie Humphreya, potem zaś, mając dość samotności, wyszła na poszukiwanie pani Burge. Serdecznie pogawędziły, a na koniec Emmy powiedziała:

- Z samego rana wyjeżdżam, chciałabym więc już teraz pożegnać się z panią i serdecznie podziękować za opiekę.

- Nie ma o czym mówić, kochanie. Robiłam to z przyjemnością. A poza tym jutro rano wstanę. Punktualnie o wpół do ósmej Beaker poda śniadanie. - Wychodząc, odwróciła się raz jeszcze. - Naprawdę wygląda pani o wiele lepiej niż tej nocy, gdy tu przybyła.

Emmy usiadła przed lustrem i uważnie się sobie przyjrzała. Jeśli teraz wyglądała lepiej, to wcześniej musiała wyglądać jak prawdziwy strach na wróble. Nic dziwnego, że profesor wcale nie szukał jej towarzystwa... Tym bardziej że i tak głowę miał zaprzątniętą swą narzeczoną.

Gdy obudziła się nazajutrz rano, lampa była już zapalona, a nad jej łóżkiem stała pani Burge z tacą.

- Okropny dzień - oznajmiła. - Jeszcze jest ciemno. Ma pani pół godziny. Profesor wyszedł z psem.

Emmy pospieszyła się i zeszła na dół chwilę przed jego powrotem.

Powitał ją ciepłym tonem. Cieszy się, że wyjeżdżam, pomyślała, odpowiadając mu równie serdecznie.

- Naprawdę proszę odwieźć mnie na pociąg - nalegała raz jeszcze przy śniadaniu. - Oszczędzi to panu niepotrzebnej drogi...

Nawet nie starał się jej przekonywać. Powiedział po prostu:
- O tej porze drogi są prawie puste. Powinniśmy zjechać do Littleton Mangate przed południem. Jest pani gotowa?

Emmy pożegnała się z Beakerem i panią Burge. Na dworze głęboko zaczerpnęła powietrza. Było bardzo zimno. Wsiadając do samochodu, z radością skonstatowała, że Charlie już zajął we miejsce na tylnym siedzeniu i, na co wskazywała jego poza, zamierzał się zdrzemnąć.

Dochodziła ósma, gdy rozpoczęli pierwszą, najbardziej męczącą część drogi przez zatłoczone ulice Londynu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Powoli się rozwidniało, a deszcz przeszedł w marznącą mżawkę. Profesor się nie odzywał. Emmy nie przychodziło nic do głowy, co mogłaby powiedzieć. Wyglądając przez okno, obserwowała, jak ulice miasta zamieniają się w rzędy jednakowych domów, potem te z kolei ustępują miejsca dużym domom z ogrodami, aż wreszcie wszystko niknie w otwartej przestrzeni.

Oparła się o siedzenie i rozmyślała o przyszłości. Myślała o niej sporo podczas ostatnich kilku dni, być może dlatego, że wołała nie wracać myślą do ubiegłych tygodni.

Będzie jej brakować profesora, przyznawała w duchu. Miała jednak nadzieję, że będzie szczęśliwy z Anneliese. Choć kilka razy ją zdenerwował, w gruncie rzeczy był spokojnym i uprzejmym człowiekiem, a jeśli nawet czasami wyrażał się nazbyt szczerze, uznała, że miał do tego prawo.

Na skrzyżowaniu autostrad zatrzymali się na stacji serwisowej.

- Kawa? - spytał. - Mamy dobry czas. Możemy wejść do środka. Tylko wyprowadzę psa.

W barze było tłoczno, toteż wzajemne milczenie było łatwiejsze do zniesienia. Emmy po kilku próbach nawiązania rozmowy poddała się.

- Skoro nie chce pan rozmawiać, to nie będziemy. -I zaraz się poprawiła: - Przepraszam. Zapewne ma pan o czym dumać. Spojrzał na nią z namysłem.

- Owszem, Ermentrudo, mam. To dziwne, ale w twoim towarzystwie nic czuję się zmuszony do podtrzymywania konwersacji.

- To dobrze - oświadczyła z uśmiechem. Odniosła wrażenie, że powiedział jej komplement.

W miarę posuwania się do przodu pogoda się pogarszała. Ale Emmy, widząc pola i małe miasteczka, czuła się podniesiona na duchu. Gdy pod koniec drogi profesor zjechał nagle z autostrady, spytała:

- Zna pan tę drogę?

- Ależ nie. - Uśmiechnął się do niej. - Spojrzałem na mapę. Już dojeżdżamy do celu.

Kilka chwil później przejechali przez wieś i skręcili w aleję wysadzoną nagimi o tej porze roku drzewami. Niebawem ich oczom ukazał się dom.

Profesor wyłączył silnik.

- Och, to nie może być tu! - odezwała się Emmy.

Dom wyglądał uroczo nawet w ponury, zimowy dzień. Samochód jej ojca stał na zewnątrz; garaż zapewne wypełniony był meblami. Meble, pokryte brezentowymi płachtami, stały również przed domem. Na małym bocznym podjeździe była zaparkowana furgonetka, obok zaś piętrzył się stos rur.

- Co tu się dzieje...? - zdziwiła się. - Chyba ojciec...

- Może wejdziemy zobaczyć? - Profesor położył dłoń na jej ramieniu. Potem wysiadł z samochodu, otworzył jej drzwi oraz wypuścił Charliego.

- Mamo! - zawołała Emmy, wchodząc do holu.

Gdzieś z głębi domu dobiegł pełen zaskoczenia okrzyk radości, potem zaś sama pani Foster pojawiła się w holu.

- Emmy, cudownie, że jesteś! - ucieszyła się na widok córki. - Ale nie spodziewaliśmy się. - Popatrzyła na profesora. - Czy coś się stało?

- Myślę, że to my powinniśmy postawić to pytanie - powiedział profesor z uśmiechem.

Pani Foster otoczyła Emmy ramieniem.

- Wejźmy do kuchni - powiedziała. - To jedyne miejsce, gdzie panuje jaki taki porządek. Myśleliśmy, że się urządzimy, zanim przyjedziesz, ale zaszły pewne trudności... Proszę, siadajcie, zrobię kawę.

W kuchni stał stół z krzesłami, obok zaś dwa fotele. Naczynia i sztucce pochowane były w szafkach, a okno nad zlewem miało witrażowe szkło.

- Oczywiście, to tylko przejściowe trudności - ciągnęła pani Foster. - Za tydzień się urządzimy na dobre.

- Ale co się stało, mamó? - Emmy zajęła miejsce przy stole. Enoch i Snoodles wskoczyły jej na kolana, George zaś nieufnie witał się z Charlim. Profesor, nadal milcząc, stał oparty o ścianę. Dopiero gdy pani Foster postawiła na stole filiżanki z parującą kawą, usiadł na krześle.

- Co za nieszczęście! - ciągnęła pani Foster. - Pan Bennett, którego zastąpił twój ojciec, zmarł nagle w tym samym dniu, w którym tu przyjechaliśmy. Meble miały zostać przewiezione do jego siostry, gdzie miał zamieszkać, ale w tej sytuacji, ona ich nie zechciała, pan Bennett natomiast zapisał je w testamencie siostrzeńcowi, który mieszka gdzieś na północy Anglii. Ma tu po nie przyjechać, ale już dwa razy odkładał przyjazd, a nie wyraża zgody, by umieścić je w magazynie. No i widzisz, dlatego tak mieszkamy! - Upiła łyk kawy. - Mimo to ojciec jest niezwykle szczęśliwy. Od jutra zaczynają się ferie szkolne, będzie miał więcej czasu. Cóż, nie pisaliśmy ci o naszych kłopotach w nadziei, że siostrzeniec pana Bennetta zrobi coś z tymi meblami...

- Czyja to furgonetka? - spytała podejrzliwie Emmy.

- Hydraulika, moja droga. Popsuł się bojler... Hydraulik

ma go naprawić w ciągu dwóch dni. - Pani Foster miała zmartwioną minę. - Przykro mi, że nie jesteśmy przygotowani na twój przyjazd. Ale jakoś sobie poradzimy. Możesz spać na sofie w salonie... - Rozejrzała się wokół z dezaprobatą. - Cały dom jest zagracony, ale może uda się zrobić trochę miejsca... - Popatrzyła znów na Emmy. - A co z naszym domem? Przypuszczam, że nie został sprzedany?

- Nie. Ale kilka osób go oglądało. Agent ma klucze...

- Nie spodziewaliśmy się ciebie tak wcześnie, kochanie. Czy coś się stało...?

- Opowiem ci później - ucięła Emmy, po czym zwróciła się do profesora, który nadal milczał: - To bardzo uprzejmie z pana strony, że mnie pan przywiózł. Mam nadzieję, że nie zakłóci to pańskiego dnia...

- Czy powinnam się o czymś dowiedzieć? - dopytywała się, coraz bardziej zaintrygowana pani Foster.

- Później, mamo. Jestem pewna, że profesor Mennolt musi już wracać do Londynu.

Profesor odpowiedział słabym uśmiechem.

- Wiele powinna się pani dowiedzieć - rzekł cicho.

- Emmy zachorowała! - zawołała pani Foster w przypływie matczynej troski.

- Proszę pozwolić mi wyjaśnić - odparł, a gdy Emmy otworzyła usta, by mu przerwać, powiedział: - Nie, Ermentrudo, nie przeszkadzaj! - Po czym wszystko opowiedział.

Jego relacja była zwięzła i sucha. Emmy, słuchając jego spokojnego głosu, miała wrażenie, jakby stawiał diagnozę albo wyjaśniał coś pielęgniarce podczas obchodu.

- Jesteśmy panu bardzo wdzięczni - powiedziała pani Foster, gdy umilkł. - Nie wiem, jak moglibyśmy się odwdziżyć za opiekę nad Emmy.

- Cała przyjemność po mojej stronie - powiedział profesor z galanterią.

Oczywiście, nie była to przyjemność, myślała Emmy. Przy-sporzyła mu samych kłopotów... Och, niechże wreszcie odje-dzie i już nigdy nie wraca! Na tę myśl jednak serce jej się ścisnęło z bólu i aż pobladła na twarzy.

Profesor nie miał zamiaru odjeżdżać. Przyjął zaproszenie na lunch i wspomniał, że chciałby porozmawiać z panem Fo-sterem.

- Czy wróci do domu na lunch? - spytał uprzejmie.

- Na ogół jada w szkole. Ale dziś o drugiej ma wolną go-dzinę. Wspomniał o tym rano.

- Doskonale. Jeśli można, pójdę do niego do szkoły.

Emmy miała ochotę spytać go, o czym zamierza rozmawiać z jej ojcem, ale powstrzymał ją.

- Nie pytaj, Ermentrudo - powiedział, wstając. - Przyniosę twoje rzeczy z samochodu.

Zjedli lunch przy kuchennym stole, a pani Foster i pro-fesorowi nie brakowało tematu do rozmowy. Emmy doszła do wniosku, że tylko w jej towarzystwie był taki milczą-cy. Dziwne... Poczwała ulgę, gdy włożył płaszcz i poszedł do szkoły.

Jeśli pan Foster był zaskoczony, widząc profesora, nie dał tego po sobie poznać. Poprosił gościa do małego pomieszczenia obok sal lekcyjnych.

- Słucham pana, profesorze? - spytał z zainteresowaniem.

- Czy chodzi może o Emmy...? Czy jest chora?

- Ależ nie. Przeszła tylko niewielki wstrząs mózgu. Ale jeśli pan pozwoli, zacznę od początku...

Profesor opowiedział całą historię Emmy w równie zwięzły i oszczędny sposób jak przed chwilą w domu.

- Jestem panu głęboko wdzięczny - powiedział pan Foster.

- Emmy nie pisnęła nam słowa. Gdybyśmy wiedzieli, żona od razu pojechałaby do Londynu.

- Nie wątpię. Ermentruda nie chciała państwa zmartwić. To rzeczywiście pech, że zwolniono ją z pracy tak niespodziewanie. Dowiedziałem się, że mieszka sama w domu, dopiero po powrocie do Londynu.

Pan Foster popatrzył w zamyśleniu na swego gościa; ciekawe, dlaczego profesor miałby się o to troszczyć...?

- Gdy już uporamy się z hydraulikiem i meblami, myślę, że przyjemnie się tu urządzimy - powiedział.

- Szkoda, że święta są już wkrótce - zauważył profesor.

- Czy urządzicie się do tego czasu?

- Niestety, wątpię. - Pan Foster miał nieszczęśliwą minę.

- Dziś rano telefonował do mnie siostrzeniec pana Bennetta. Może przyjechać po meble dopiero po świętach. Cóż, musimy sobie jakoś poradzić.

- Czy mogę coś zasugerować? - wtrącił nieśmiało profesor.

- Biorąc pod uwagę fakt, że Ermentruda nie jest jeszcze całkiem zdrowa oraz niewygodny, jakie państwo musicie znosić, co by pan powiedział na propozycję...

Emmy z matką szukały po całym domu kocy i poduszek.

- W małym pokoju na górze jest materac - powiedziała pani Foster. - Może mogłabyś spać na nim przez kilka nocy? Och, gdyby wreszcie zabrano te meble...

- To nie potrwa długo - pocieszała ją Emmy. - Będzie mi tu całkiem wygodnie. Najważniejsze, że ojciec dostał pracę.

Po zakończeniu rozmowy z panem Fosterem profesor poszedł z Charlim na spacer. Pogoda się wyraźnie pogorszyła. Z gwałtownie ciemniejącego, szarego nieba padał mokry śnieg. Na polnych drogach, po których spacerował, leżało na wprost

zamarznięte błoto. Ale profesor nie zwracał uwagi na pogodę, ponieważ myślami był bardzo daleko.

- Oczywiście, jestem szalony - zwierzał się Charliemu. - Żaden człowiek o zdrowych zmysłach nie wpadłby na taki pomysł. Ciekawe, co na to powie Anneliese-?!

Nagle uświadomił sobie, że właściwie niewiele go to obchodziło. Zresztą, była na tyle dobrze wychowana, żeby uprzejmie potraktować gości. A jeśli skrzyżuje szpadę z Ermentrudą, cóż - był przekonany, że ta nic pozostanie jej dłużna. Poza tym Anneliese nie będzie przecież mieszkać w jego domu.

Być może Anneliese zrozumie, że nie mógł zostawić Ermentrudy i jej rodziców na święta w domu, w którym była popsuta instalacja i pełno cudzych mebli... Zwłaszcza że to on sam doprowadził do ich przeprowadzki i czuł teraz ciężar odpowiedzialności. To prawdziwy cud, że pan Foster zgodził się na jego propozycję... Ostatecznie przeważył argument - w rzeczywistości mocno przesadzony - o konieczności rekonwalescencji Ermentrudy.

Profesor wrócił pod szkołę, zaczekał tam chwilę na pana Fostera i razem udali się w stronę domu.

Emmy właśnie przygotowywała podwieczorek.

- Cały pan mokry! - powiedziała niepewnie. - Zrobiłam grzanki, a tu jest jedzenie dla Charliego... Przy kuchennych drzwiach wisi ręcznik. Proszę mi podać płaszcz, powieszę go przy grzejniku. Och, przeziębci się pan na śmierć!

Profesor, posłusznie wykonując polecenia Ermentrudy, pomyślał, że zwraca się do niego jak... żona. Próbował wyobrazić sobie w tej sytuacji Anneliese, ale to nie było możliwe. Przede wszystkim Anneliese nigdy nie znalazłaby się w podobnej sytuacji. Zapewne zażądałaby odwizienia do najbliższego hotelu.

Roześmiał się sam do siebie, co przykuło uwagę Emmy. Profesor niezbyt często się śmiał.

Emmy pomogła ojcu zdjąć marynarkę, nalała herbaty i zawołała matkę, która właśnie wieszła zasłony w małej sypialni na górze.

- Od razu pokój wygląda przytulnie - powiedziała pani Foster, wchodząc do kuchni. Uśmiechnęła się do profesora. - Miał pan miłą przechadzkę? Proszę usiąść. Charlie może poleżeć obok grzejnika, szybciej wyschnie. Co za brzydka pogoda na podróż!

Emmy postawiła na stole podwieczorek. Herbata podana w filiżankach była mocna i gorąca. Obserwując profesora jedzącego grzanekę, przypomniała sobie wykwintne ciasteczka Beakera. Profesor spojrział do góry i napotykając jej spojrzenie, uśmiechnął się lekko.

Pan Foster wypił herbatę i odstawił filiżankę.

- Profesor Mennolt złożył nam niezwykle wspaniałomyślną propozycję - powiedział. - Uważa, że Emmy potrzebuje odpoczynku po tym przykrym wydarzeniu i jako lekarz nie akceptuje pomysłu pozostawienia jej w domu, który jest w takim stanie... Krótko mówiąc, zaprasza nas na święta do siebie do Holandii. Sam wyjeżdża pojutrze...

- Mówił pan, że jutro... - wtrąciła zaszokowana Emmy.

- Okazało się, że mogę wyjechać dopiero pojutrze - odparł gładko. - Będę zachwycony, goszcząc państwa przez kilka dni. Mam nadzieję, że w tym czasie rozwiążą się wasze problemy mieszkaniowe.

Emmy wciągnęła głęboko powietrze. Miała wrażenie, że profesor nie mówił prawdy... Do licha, ta propozycja była niedorzeczna! Przede wszystkim nic jej nie dolegało. Już otworzyła usta, aby zaprotestować, ale zaraz je zamknęła. Nie miała odwagi przeciwstawić się takiemu profesjonalistcie, a tym bardziej wystąpić przeciw własnym rodzicom.

Słuchała, jak jej matka z ulgą pełną radości przyjmuje propozycję.

- Czy aby nie zakłócimy pańskich planów na święta? - dopytywała się grzecznie. - A co z pańską rodziną i przyjaciółmi? Tyle dodatkowej pracy...

- Nie przewiduję żadnych problemów, pani Foster. - Głos profesora pełen był niewzruszonej pewności. - Będziecie państwo najmilej widzianymi gośćmi. Nie ma już wiele czasu... Czy będą państwo gotowi do wyjazdu pojutrze w południe?

Pan i pani Foster wymienili spojrzenia. Trudno było nie przyjąć takiej propozycji. Taki bałagan na święta i w dodatku Emmy, która potrzebowała odpoczynku...

- Dziękujemy, zgadzamy się z przyjemnością - powiedziała wreszcie pani Foster.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Profesor uśmiechnął się. - Zawsze uważałem, że im więcej ludzi, tym święta są radośniejsze. Jestem pewien, że moje dwie siostry i brat będą szczęśliwi, mogąc państwa poznać. - Podniósł się z krzesła. - Wybaczą państwo, ale muszę już jechać.

Wymienił uścisk dłoni z gospodarzami, Ermentrudę zaś poklepał po ramieniu i powiedział, aby dbała o siebie.

- Co za uroczy człowiek! - zachwycała się pani Foster, gdy profesor odjechał. - I jaki uprzejmy! Szczerze mówiąc, Emmy, odchodziliśmy od zmysłów, co zrobić ze świętami, a tu. popatrz, pojawia się profesor Mennolt niczym święty Mikołaj!

- Porządny człowiek i doskonały lekarz - potwierdził pan Foster, spoglądając w twarz Emmy. - Powiedział mi, że jest zaręczony. Myślę, że w Holandii poznamy jego narzeczoną.

- Już ją poznałam! - wtrąciła Emmy z ożywieniem. - Pewnego dnia przyszła do St Luke. by się z nim spotkać. Och, jest bardzo piękna: smukła, jasnowłosa i elegancko ubrana.

- Spodobała ci się? - spytała jej matka. .

- Nie - odpowiedziała szczerze Emmy. - Być może dlatego, że jest taką kobietą, jaką zawsze chciałam być w marzeniach...

- No cóż, musimy się zastanowić, jakie ubranie ze sobą zabierzemy - podchwyciła wątek pani Foster. - Mam długą, czarną spódnicę i elegancką bluzkę z krepdeszynu, będzie musiała wystarczyć na wieczór. A co z tobą, Emmy?

- Wezmę chyba sukienkę z brązowego aksamitu... - Zresztą, nie miała innej odpowiedniej sukienki. - Mogę pojechać w żakiecie i spódnicy, a na to narzucić płaszcz - powiedziała z namysłem. - Jedna czy dwie bluzki i sweter... Zabawimy tam przecież tylko kilka dni.

- Gdy sprzedamy dom, kupisz sobie trochę nowych rzeczy - pocieszyła ją pani Foster. - Tym bardziej że teraz ojciec ma nową pracę.

- Mam mnóstwo rzeczy - zaprotestowała Emmy. - I to w ogóle nie ma znaczenia. Cieszę się, że ojciec ma pracę i mieszkamy w tym uroczym domu. - Rozejrzała się po całym rozgardiaszu; krzesła stały na stole, szafa tarasowała korytarz, a pianino pana Bennetta nadal zajmowało pół salonu. Przeniosła wzrok na rodziców i po chwili cała trójka Wybuchnęła śmiechem. - Oczywiście, to będzie uroczy dom, gdy się w nim urządzimy - dodała wesoło.

- Nie wiem, co we mnie wstąpiło - zwierzał się profesor Charliemu w drodze powrotnej do Londynu. - Anneliese nie będzie zachwycona moimi gośćmi. Ale przecież nie mogłem postąpić inaczej, nieprawdaż? Muszę wszystko raz jeszcze prze-myśleć...

Nim dojechał do Chelsea, miał gotowy plan. Zaraz po obiedzie przygotowanym przez Beakera poszedł do gabinetu i podniósł słuchawkę.

Beaker, który kilka minut później przyniósł kawę, chrząknął dyskretnie i powiedział:

- Pani Burge i ja tęsknimy za panną Foster.

Profesor popatrzył na niego spod okularów i powiedział poważnym tonem:

- Ja też, Beaker. I chciałem ci właśnie powiedzieć, że zaprosiłem ją wraz z rodzicami na święta do Holandii.

- Dobry pomysł, jeśli wolno mi tak powiedzieć. - Twarz kamerdynera nie wyrażała żadnych emocji. - Ta młoda dama nie doszła jeszcze do siebie po tym okropnym napadzie.

- Właśnie to miałem na uwadze. W dodatku dom, do którego państwo Foster się przenieśli, nie jest jeszcze urządzony.

Po odejściu Beakera profesor zagłębił się w lekturze i zapomniał na chwilę o całym świecie. Dopiero gdy kładł się spać, przypomniał sobie o Anneliese. Powinien do niej zadzwonić... A może lepiej powiadomić ją o wszystkim po przyjeździe do Holandii? Powinna równie ciepło powitać jego gości, jak to obiecały jego siostry..!

Emmy źle spała tej nocy. Nie było jej zbyt wygodnie na materacu położonym na podłodze wśród rozmaitych mebli. Co więcej dręczyły ją różne dziwne myśli dotyczące profesora Mennolta, a żadna z nich nie była rozsądna.

- Profesor, miał rację, że jeszcze nie doszłaś do siebie - powiedziała pani Foster, widząc rano jej zmęczoną, pobladłą twarz. - A może było ci niewygodnie na materacu? Och, dziś ojciec będzie tam spać, a ty ze mną, kochanie.

- Było mi bardzo wygodnie - zaprzeczyła Emmy. - Ale tyle myśli zaprzętało mi głowę, że niezbyt dobrze spałam. Mam wrażenie, że jestem podekscytowana.

- Ja też. - Pani Foster włożyła jajka do rondelka. - Zaraz zaczniemy pakowanie. Ojciec musi się dowiedzieć, gdzie znaj-

duje się najbliższy hotel dla zwierząt. Trzeba dziś wieczorem zawieźć tam całą trójkę.

- Mam nadzieję, że będą tam miały dobrze - powiedziała Emmy z troską w głosie. - Pomyśl, czy nie byłoby cudownie, gdyby po powrocie okazało się, że meble pana Bennetta zniknęły, a instalacja działa bez zarzutu?

- Och, i tak wszystko układa się zbyt pięknie, by mogło być prawdziwe- westchnęła z zadowoleniem pani Foster.

Do samego wieczora Emmy miała mnóstwo zajęć - pakowanie walizek, mycie głowy, manicure...

- Mam nadzieję, że profesor nie będzie się za nas wstydził - powiedziała niespodziewanie pani Foster.

- Z pewnością nie! - wtrąciła żywo Emmy. - On nie jest takim człowiekiem... Jest wielkoduszny i... - Urwała. - I bardzo miły. Oczywiście, od czasu do czasu potrafi być nieznośny...

Pani Foster spojrzała na córkę zaskoczonym wzrokiem, ale nic nie powiedziała.

Położyli się wcześniej do łóżek w dziwnie cichym domu, ponieważ zwierzaki zostały odwiezione do hotelu w Shaftesbury. Emmy spędziła kolejną bezsenłą noc, martwiąc się o swoje niezbyt modne ubrania, zastanawiając, czy profesor nie żałuje już swej wspaniałomyślnej propozycji - i wreszcie: jaka będzie reakcja Anneliese. W końcu zasnęła, ale miała koszmarne sny. Z radością powitała poranek.

Postarali się jak najlepiej zabezpieczyć dom; założyli brezentowe pokrowce na meble oraz na samochód ojca zaparkowany tuż przy domu. Do przyjazdu profesora zostało niewiele czasu.

Przyjechał punktualnie, wypoczęty i w świetnym nastroju. Wypił zaproponowaną mu kawę, zapakował bagaże do samo-

chodu i zaprosił wszystkich do środka. Odwrócił się jeszcze do pani Foster.

- Mają państwo paszporty? Klucze? W pośpiechu łatwo o coś zapomnieć.

- Wzięliśmy wszystko, co potrzebne, profesorze - zapewniła go pani Foster.

- Czy moglibyście mówić do mnie Ruerd? - Przesunął wzrokiem po bladej twarzy Emmy, ale nic nie powiedział.

Dzień był chłodny i ponury, ale na szczęście nie padało. Profesor prowadził pewnie po lokalnych drogach, a potem przed Southampton wjechał na autostradę. W Hawkshursl zatrzymali się na lunch.

- Czy zdążymy na poduszkowiec? - spytała pani Foster.

- Mamy jeszcze mnóstwo czasu - zapewnił.

- Czy jechałeś już tą drogę? - zagadnął ojciec Emmy.

- Nie, ale to chyba dobra droga. A w pogodny dzień na pewno bardzo urozmaicona. Nie lubię autostrad, choć czasami muszę z nich korzystać.

Kilka minut później znów byli w drodze. Siedząc w ciepłym samochodzie, Emmy przyglądała się zimowemu krajobrazowi za oknem. To byłby pech, gdyby zachorowała na morską chorobę...

Gdy zajęli miejsca na poduszkowcu; całkiem o tym zapomniała. Była podekscytowana podróżą; z przyjemnością popijała wraz z matką herbatę i jadła ciasteczka. Ojciec zasnął, profesor zaś przerosił je, po czym wyjął z kieszeni jakieś papiery i zaczął je przeglądać.

Trochę huśtało, ale jazda bardziej przypominała podróż luksusowym autokarem niż morską przeprawę. Niemniej jednak z przyjemnością przesiadła się do samochodu.

- Bardzo zmęczeni? - spytał profesor, opuszczając zatłoczone Calais.

Przejechali Francję, przekroczyli granicę belgijską, potem skierowali się w stronę Ghent, stamtąd zaś do Holandii.

. Emmy, patrząc przez okno, pomyślała, że kraj wygląda raczej płasko i mało interesująco. Z przyjemnością natomiast przyglądała się tyłowi głowy profesora i żałowała, że nie siedzi obok niego. Stłumiła w zarodku te myśli. Podniecenie uderzało jej do głowy. Powinna natychmiast się opanować. Zbieg okoliczności zetknął ich ze sobą, inne okoliczności wkrótce ich rozdziela. Na tym koniec.

Było już całkiem ciemno, gdy przejechali bramę prowadzącą do posiadłości profesora. Widziała tylko światła wylewające się z wielu okien. Nie spodziewała się tak wielkiej budowli, z imponującym wejściem i podjazdem.

Gdy wysiedli z samochodu, wyskoczyły ku nim Solly i Tip, radośnie szczekając, następnie zaś pojawił się Cokker i powitał ich w sposób tak naturalny, jakby trzy osoby więcej przyjeżdżające na święta były chlebem powszednim.

W jasno oświetlonym holu stała choinka, jeszcze nie ubrana. Cokker wziął od wszystkich płaszcze i poprowadził ich do salonu.

- Jaki piękny pokój! - zachwyciła się pani Foster.

- Może napijemy się, zanim pójdziecie do swoich pokoi?
- zaproponował profesor. - Czy kolacja za pół godziny wam odpowiada?

- Oczywiście. - Pani Foster uśmiechnęła się szeroko. - Nie wiem, jak inni, ale ja umieram z głodu. - Usiadła obok kominka i rozejrzała się wokół z niekłamany podziwem. - Ruerd. skoro tu jest tak pięknie, dlaczego zdecydowałaś się dużą część życia spędzić w Anglii?

- Praca mnie tam wzywa - odparł. - To prawda, że jestem bardzo szczęśliwy w Chelsea, ale mój prawdziwy dom jest tutaj.

Po chwili zjawił się Cokker, a wraz z nim wysoka, dość tęga, niemłoda kobieta.

- Witaj, Tiele! - powiedział profesor. - Oto żona Cokkera, a moja gospodyni. Nie mówi po angielsku, ale z pewnością się porozumiecie. - Zwrócił się do niej w obcym języku, a potem wyjaśnił: - Tiele pochodzi z Fryzji, mówimy po fryzyjsku.

- Jest pan Fryzyczykiem, nie Holendrem? - spytała Emmy.

- Moja babka była Fryzijką - odpowiedział. - A teraz Tiele zabierze was na górę i pokaże pokoje. Proszę trochę wypocząć przed kolacją.

W drodze do drzwi Emmy przystanęła obok gospodarza.

- A pan nie jest zmęczony? - spytała.

- Nic. - Uśmiechnął się do niej. - Gdy przebywam wśród ludzi, których lubię, nigdy nie jestem zmęczony.

To nieuniknione, że w końcu się w nim zakocham! - myślała Emmy, idąc za rodzicami po szerokich schodach. Powinna zachować ostrożność... Wrócimy przecież do domu i nigdy więcej go nie zobaczę.

Chwilę później Tiele pokazała jej pokój. Znajdował się naprzeciwko sypialni rodziców. Nie było to duże pomieszczenie, ale pięknie umeblowane. Przy ścianie stało ogromne łóżko z baldachimem, obok toaleta z drzewa różanego w stylu Wilhelma IV i dwie berżery w stylu georgiańskim, obite tym samym jasnoróżowym materiałem, z którego uszyto zasłony i kapę na łóżko. Po drugiej stronie stał mahoniowy nocny stolik na trzech nogach.

Podeszła do okna, które wychodziło na balkon z ozdobną, żelazną balustradą i przez chwilę patrzyła w ciemność. Potem znów wróciła spojrzeniem do przytulnie oświetlonego wnętrza.

Czy Anneliese zdaje sobie sprawę, jakie spotkało ją szczęście...?- rozmyślała.

Umyła się w elegancko wyposażonej łazience, uczesała włosy, poprawiła delikatny makijaż i poszła do pokoju rodziców.

Gdy pojawili się na dole w salonie, profesor stał obok kominka, z psami warującymi u jego stóp.

- Czy macie wszystko, czego wam potrzeba? - zapytał kurtuazyjnie. - Jeśli czegoś brakuje, proszę tylko powiedzieć. Tak was popędzałem, że z pewnością nie mieliście dość czasu na spakowanie rzeczy. - Gdy wszedł Cokker, profesor zakomunikował: - Kolacja na stole. A jeśli nie będziesz zbyt zmęczony - zwrócił się do ojca Emmy - chciałbym potem pokazać ci kilka okazów bibliofilskich ...

Jadalnia była równie wspaniale urządzona, jak salon. Owalny stół mahoniowy otaczało dwanaście rzeźbionych krzeseł obitych czerwoną skórą. Pod jedną ścianą stał masywny kredens, pod drugą zaś mały pomocniczy stolik.

Na ścianach wisiało kilka dobrych płócien. Emmy postanowiła przyrzeć im się dyskretnie, gdy nikogo nie będzie w pobliżu. Nie chciała bowiem sprawić wrażenia wścibskiej. Teraz z prawdziwą rozkoszą skupiła się na jedzeniu. Wędzony łosoś na przystawkę, potem pieczony bażant z frytkami, na deser zaś creme brulee.

Kawę podano w salonie. Potem profesor poprosił pana Fostera do biblioteki, życząc Emmy i jej matce dobrej nocy.

- Śniadanie jest o ósmej trzydzieści - przypomniał. - Ale jeśli wolicie zjeść w łóżku, wystarczy powiedzieć. Miłych snów.

Na moment zatrzymał wzrok na twarzy Emmy, ona jednak szybko odwróciła oczy.

Leżąc w aromatycznej kąpieli, myślała, że dziś nie zaśnie. Gdyby tylko mogła zapomnieć o profesorze... Jeśli było to zauroczenie, powinno szybko minąć...

Położyła się do łóżka i podziwiała jeszcze przez chwilę piękny wystrój wnętrza. Potem zgasiła nocną lampkę i, nadal myśląc o profesorze, zasnęła.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Młoda dziewczyna w kolorowym fartuszkach obudziła Emmy. Wnosząc herbatę na tacy. Uśmiechnęła się, odsłoniła zasłony i wyszła.

Emmy wypić herbatę i wyskoczyła z łóżka. Otworzyła okno i ostrożnie wyszła na balkon. Terakota pod stopami była lodowata, tak że aż podwinęła palce z zimna. Chwyciła kilka głębokich oddechów; powietrze było rześkie i pachnące morzem. Spojrzała na ogród.

To było raczej pole niż ogród, ciągnęło się bowiem daleko aż do wysokich traw, za którymi zaczynała się plaża. Raz jeszcze nasyciła oczy widokiem, potem znów spojrzała w dół.

Dokładnie pod jej balkonem, z oczami wzniesionymi ku górze, stał profesor; obok niego bawiły się psy.

- Witaj, Ermentrudo! - zawołał wesoło. - Lepiej ubierz się i zjedź na dół.

- Dzień dobry, profesorze - odparła sztywno. - Ale jest mi zimno...

- Nie dziwię się, skoro masz na sobie tylko nocną koszulę.
- Znów się roześmiał. - Ubierz się i zjedź na dół. Potrzeba ci świeżego powietrza.

- Dobrze, za dziesięć minut - powiedziała, czując nagły zawrót głowy i cofnęła się szybko do pokoju.

Profesor zaś nie potrafił zrozumieć; dlaczego jej widok w skromnej nocnej koszuli i z włosami w nieładzie opadający-

mi na ramiona poruszył go bardziej niż osoba Anneliese w najbardziej wykwintnej kreacji.

Wyszła mu na spotkanie przez boczne drzwi, owinięta płaszczem, z chustką na głowie. Tip i Solly powitały ją radośnie, machając ogonami.

- Och, wielka szkoda, że nie ma tu Charliego - westchnęła Emmy.

- Nie sądzę, by Beaker był tym zachwycony. Charlie stał się jego faworytem.

Przemierzyli ogród aż do furki na jego końcu, potem zaś przedarli się przez wysokie trawy do wydmy. Przed nimi rozpostarło się morze. Silny wiatr smagał potężne Stalowszarsze fale.

Profesor objął Emmy ramieniem, by łatwiej zachowała równowagę.

- Podoba ci się? - spytał, przekrzykując fale.

- Jest cudownie! I tak cicho... Nie ma ludzi i samochodów... ..

- Tylko my...

W ponurym, porannym świetle poranka widziała szerokie łąchy piachu ciągnące się aż po horyzont.

- Można by iść przed siebie wiele kilometrów - powiedziała. - Jak daleko?

- Na północy do Helder, na południu do Hoek.

- Musisz tęsknić za tym widokiem, gdy jesteś w Londynie?

- Po raz pierwszy powiedziała mu po imieniu!

- Tak. Pewnego dnia zamieszkać tutaj na stałe.

- Pewnie zrobisz to, gdy się ożenisz - zauważyła Emmy, czując nagły ból w sercu. Czy Anneliese będzie tu przychodzić z nim na spacer, by obserwować morze i poddawać się podmuchom wiatru? A ich dzieci...? Wyobraziła sobie całe ich stadko i zaraz odsunęła tę myśl. Anneliese nie zechce mieć dużo dzieci. Najwyżej dwoje.

Pod powiekami poczuła łzy. Ruerd będzie wspaniałym ojcem... A jego wielki dom mógł pomieścić gromadę dzieci, ale tak się nie stanie...

- Płaczesz? - zapytał zaskoczony. - Dlaczego?

- To wiatr... Oczy mi od niego łzawią. Powietrze jest tak ostre, jakby ssało się kostki lodu z lodówki...

. - Cóż za celny opis! - Uśmiechnął się ciepło. - Wracajmy lepiej na śniadanie, a potem ubierzemy choinkę. Przyjdziemy tu jeszcze...

Śniadanie przebiegło w radosnej atmosferze.

- Siostry przyjadą dzisiaj - poinformował swoich gości gospodarz. - A brat jutro. Anneliese, moja narzeczona, dziś wieczór przyjdzie na kolację.

- Z przyjemnością ją poznamy - powiedziała uprzejmie pani Foster, ale instykt matczyny ostrzegał ją, że Anneliese nie powita ich radośnie w domu Ruerda, chociaż Emmy nie stanowiła dla niej żadnego zagrożenia... Dobre dziecko, ale niezbyt ładne... Taki przystojny mężczyzna jak profesor z pewnością wybierze na żonę piękną kobietę.

Po śniadaniu ubrali choinkę. Na czubku, starym zwyczajem, umieszczono dobrą wróżkę- lalkę, którą po świętach dostawała najmłodsza siostrzenica Ruerda.

- Masz kilka siostrzenic? - spytała pani Foster.

- Trzy i czterech siostrzeńców. Mam nadzieję, że lubicie dzieci?

- Oczywiście, Ruerdzie. Ale czujemy się trochę niezręcznie, ponieważ nie mamy dla nich żadnych podarunków.

- Och, nie ma zmartwienia. Dostaną tyle prezentów, że nie będą wiedziały od kogo. - Po czym zwrócił się do Emmy, która robiła papierowe łańcuchy: - Chodźmy na górę udekorować apartament dziecięcy.

Pokoje dla dzieci znajdowały się z tyłu domu za obitymi grubą materią drzwiami. Była tam również sypialnia dla niani, mała kuchnia i luksusowo wyposażona łazienka.

- Dzieci tu śpią, ale poruszają się po całym domu. Powinny jak najwięcej przebywać z rodzicami. Zgadzasz się ze mną?

- Oczywiście - przytaknęła Emmy. - Inaczej nie jest się rodziną. - Podawała mu łańcuchy, które on rozpinał na ścianach.

- Też tutaj spałeś? - spytała!

- Tak. Aż do ósmego roku życia. Potem dostaliśmy własne sypialnie. - Zawiesił kolejny łańcuch i odwrócił się, by na nią spojrzeć. - Podoba ci się mój dom, Ermentrudo?

- Bardzo! Z pewnością jesteś tu bardzo szczęśliwy. - Cofnęła się w stronę drzwi, trochę skrępowana jego spojrzeniem. - O której przyjadą twoje siostry?

- Zaraz po lunchu. - Głos jego znów zabrzmiał obojętnie. - Po południu będzie tu niezły rozgardiasz. W dodatku na kolację zaprosiłem kilkoro przyjaciół.

Zatrzymała się u wylotu schodów.

- Nie musimy uczestniczyć w uroczystościach rodzinnych - powiedziała. - Jesteś dla nas bardzo uprzejmy, ale... Rodzice i ja będziemy bardzo szczęśliwi, jeśli zjemy sami. To znaczy, przecież nikt tu się nas nie spodziewał... - Zająknęła się i urwała.

Cóż, rozżłościła go, ale musiała mu to powiedzieć. Być może, gdyby się w nim nie zakochała, nie czułaby się dziwnie skrępowana w jego domu...

Wyciągnął rękę i położył jej na ramieniu.

- Proszę cię, nie mów w ten sposób, Ermentrudo! - Starał się opanować gniew. - Ty i twoi rodzice jesteście tu mile widzianymi gośćmi. Bądź tak dobra i o tym nie zapominaj!

- Dobrze, nie zapomnę - odparła po dłuższym milczeniu. - Proszę mi wybaczyć.

- Czy ja także powinienem cię przeprosić? - spytał z uśmiechem. - Przestraszyłem cię?

- Och, nie. Zawsze wiedziałam, że świetnie potrafisz ukrywać swe uczucia... - Napotkała jego spojrzenie i zarumieniła się. - Wielki Boże, w St Luke nie śmiałabym tak się do ciebie odezwać...

Patrzył na nią badawczo dłuższą chwilę, potem wolno skinął głową. Gdy schodzili na dół, ciągle trzymał dłoń na jej ramieniu.

Lunch zjedli w miłej atmosferze. Profesor i pan Foster bardzo przypadli sobie do gustu i mieli mnóstwo tematów do rozmowy. Zaraz po lunchu zjawili się pierwsi goście. I nagle dom wypełnił się dziećmi. Była ich tylko czwórka, ale wydawało się, że jest ich więcej. Przyjechała z nimi surowa szkocka niania. Wystarczyło kilkanaście minut, by zapałała sympatią do Emmy i pozwoliła jej przejąć część swych obowiązków. Emmy udała się więc do dziecięcego apartamentu wraz z, siostrą Ruerda, wysoką, przystojną kobietą.

- Joke - przedstawiła się z uśmiechem. - Mam nadzieję, że lubisz dzieci. Moje maleństwa w święta po prostu szaleją, a Ruerd pozwala im na wszystko. Zaraz przyjedzie moja siostra, Alemke; ma chłopca, dwie dziewczynki i kolejne dziecko w drodze. Czy to cię nie przeraża?

- Ależ skąd! Uwielbiam dzieci. W szpitalu profesor utrzymuje taki dystans, że trudno go sobie wyobrazić w otoczeniu rodziny... - dodała w zamyśleniu.

- Rozumiem - powiedziała Joke. - Ruerd kocha dzieci, ale nie sądzę, by to uczucie podzielała Anneliese... Och, może jestem zbyt krytyczna. Ale wprost nie mogę pojąć, dlaczego on chce poślubić kobietę tego pokroju. - Wzięła Emmy pod ramię. - Cieszę się, że tu jesteś. Mam nadzieję, że dzieci za bardzo cię nie zmęczą.

- Nie martw się, na pewno nie. W jakim wieku są dzieci twojej siostry?

- Chłopiec ma pięć, a dziewczynki bliźniaczki po trzy lata. Zejdźmy teraz na dół na herbatę.

Gdy wchodziły do salonu, akurat przyjechała druga siostra Ruerda. Wokół Emmy zgromadziło się jeszcze więcej dzieci.

Alemke była podobna do siostry, tylko nieco młodsza.

- Och, wspaniale! - powiedziała perfekcyjnym angielskim.
- Uwielbiam, gdy jest dużo ludzi. Później przyjadą nasi mężowie i ciotka Beatrix oraz wuj Cor, no i, oczywiście, babcia Mennolt. Ona jest trochę surowa, ale nie przejmuj się! Przyjadą jeszcze przyjaciele Ruerda, powinno być zabawnie. No i Anneliese... - Rzuciła siostrze porozumiewawcze spojrzenie.

- Nie przepadamy za nią, chociaż naprawdę się staramy
- powiedziała Joke.

- Jest niezwykle piękna - powiedziała Emmy cicho - Wiedziałam ją w szpitalu, gdy przyszła zobaczyć się z profesorem.

- Dlaczego nazywasz Ruerda tak oficjalnie? - spytała Joke.

- Och. on jest... Trudno to wyjaśnić, ale w szpitalu, gdzie pracowałam jako telefonistka, zawsze tak się do niego zwracano.

Alemke wzięła ją pod ramię.

- Chodź, napijemy się herbaty i opowiesz nam o szpitalu. Ruerd wspominał coś o bombie... Anneliese akurat była w Londynie, czyż nie?

Emmy przyjęła filiżankę z delikatnej porcelany i maleńkie ciasteczko.

- Tak, to był bardzo męczący dzień - powiedziała - Profesor miał jeszcze więcej pracy niż zwykle...

Joke i Alemke wymieniły szybkie spojrzenia. Czyżby Bóg ich wysłuchał? Oto ta skromna dziewczyna o przeciętnej twarzy i pięknych oczach była dokładnie taką kobietą, jakiej pragnęły dla swego brata. On jednak prócz kilku zdawkowych słów, które

z nią zamienił, starał się jej unikać... Ale to był dobry znak. Znały przecież Ruerda. Prawdziwy pech, że dał już słowo Anneliese!

Po podwieczorku niania zaprowadziła dzieci do ich apartamentu, dorośli zaś poszli do swych pokoiów przebrać się do kolacji. Emmy z przyjemnością skonstatowała, że jej rodzice dobrze się bawią, a wytworne otoczenie wcale ich nie onieśmiało. Przypomniała sobie, że nim ojciec stracił pracę, rodzice prowadzili ożywione życie towarzyskie.

Emmy, mimo że bardzo długo szykowała się do kolacji, gdy popatrzyła na siebie w lustro, doszła do wniosku, że wygląda tak jak zwykle. Brązową sukienkę w najlepszym razie można było nazwać praktyczną. Zarówno kolor, jak i skromny fason gwarantowały trwałość i uniwersalność.

Kupiła ją na przecenie dwa lata temu, gdy szukała czegoś odpowiedniego na doroczny bal w szpitalu. Sukienka nie dodawała jej wdzięku, choć nie ukrywała jej zgrabnej figury. Wolno zeszła po schodach, w nadziei, że nie zostanie przez nikogo zauważona.

Ale profesor ją zauważył i, jakby domyślając się jej ociągania, podszedł ku niej i wziął ją za rękę.

- Bardzo ładnie wyglądasz, Ermentrudo - powiedział serdecznie. - Chodź, poznasz resztę gości.

Przyjechali już jego szwagrowie oraz ciotka.

- Ciociu Beatrix, oto Ermentruda Foster, której rodziców już poznałaś - przedstawił ją starszej pani siedzącej przy małym stoliku.

- Masz niezwykle imię - zagałła starsza dama. - Być może jesteś niezwykłą dziewczyną?

- Jestem bardzo zwyczajna - powiedziała Emmy, ściskając wyciągniętą rękę.

. Ciotka Beatrix wskazała stojące obok siebie krzesło.

- Usiądź, proszę, i opowiedz mi, czym się zajmujesz.

Emmy posłusznie usiadła i opowiedziała o pracy w St Luke.

- Teraz jednak, gdy ojciec dostał pracę w Dorset, chciała-bym skończyć kurs tkactwa i haftu.

- A co z zamążpójściem? - Starsza dama się uśmiechnęła.

- Gdyby poprosił mnie o rękę ktoś, kogo bym kochała, wyszłabym za męża.

Profesor znów do niej podszedł.

- Chodź, poznasz Rika, Hugona i pozostałych gości. - Położył jej dłoń na ramieniu i prowadził od jednej osoby do drugiej. Wreszcie zatrzymali się przy Anneliese.

- Pamiętasz Ermentrudę? - spytał profesor.

- Oczywiście, że tak. - Anneliese zmierzyła ją od stóp do głów i uśmiechnęła się ironicznie. Sama wyglądała oszałamiająco w czerwonej, szyfonowej kreacji i z burzą blond włosów opadających na ramiona w artystycznym nieładzie. - Chyba nie zdążyłaś się spakować w pośpiechu? Ruerd opowiadał mi o tym. Powinnaś być mu bardzo wdzięczna. Co za pech, że nie starczyło ci czasu na kupienie sobie sukni! Ale przecież nie zostaniesz tu dłużej niż kilka dni, nieprawdaż?

- Oczywiście - przytaknęła Emmy, akurat w momencie gdy ktoś zawołał profesora.

Anneliese odwróciła głowę do wysokiej, tęgiej kobiety, która stała obok niej.

- Mamo. poznaj tę dziewczynę z Londynu, której Ruerd tyle pomaga...

Pani van Moule miała zimne oczy i wąskie, zaciśnięte usta. Emmy pomyślała, że za dwadzieścia lat Anneliese będzie wyglądać tak samo.

- Odnoszę wrażenie, że czuje się tu pani raczej nieswojo, nieprawdaż? O ile wiem, pracowała pani w szpitalu?

- Tak - odparła uprzejmie Ermentruda. - Wykonywałam

tam pożyteczną pracę. Podobnie jak profesor, który też uczciwie pracuje. - Następnie zwróciła się ze słodkim uśmiechem do Anneliese: - A ty gdzie pracujesz?

- Moja córka jest zbyt delikatna i wrażliwa, by pracować - oświadczyła dumnie jej matka. - Poza tym nie musi nic robić. Wkrótce wychodzi za mąż za profesora Mennolta.

- Tak, wiem. - Emmy uśmiechnęła się znów, choć przyszło jej to z trudnością. Miałyby ochotę nimi obiema potrząsnąć. - Miło mi cię znów widzieć, Anneliese - dodała i z podniesioną głową przeszła przez pokój i dołączyła do rodziców, którzy rozmawiali z kuzynem profesora.

Siostry profesora obserwowały ją z drugiego końca pokoju. Zauważyły jej zarumienione policzki oraz uniesiony podbródek i zaczęły się zastanawiać, co takiego usłyszała od Anneliese. Gdy zbliżył się do nich profesor, Joke powiedziała z naganą w głosie:

- Ruerdzie, dlaczego pozostawiłeś Emmy na pastwę Anneliese i jej matki? Wiesz, jakie potrafią być okropne... - Zająknęła się i poprawiła: - Och, przepraszam, nie powinnam tego mówić, ale...

Przeszła kilka kroków i przystanąła obok Emmy.

- Skrzyżowałyście szpady? - szepnęła jej do ucha. - Czy były nieprzyjemne?

- Tak - wyznała szczerze Emmy.

- Mam nadzieję, że nie pozostałaś im dłużna.

- Bardzo chciałam, ale nie mogłam tak się zachować. Jestem tu gościem. Nic chciałabym dotknąć Ruerda...

- Emmy, moja droga... - Joke wzięła ją pod ramię. - Naprawdę tak się przejmujesz Ruerdem?

- Oczywiście. On jest... On jest laki uprzejmy, cierpliwy i wielkoduszny... Zasługuje na szczęście. Przecież wkrótce poślubi Anneliese. - Emmy popatrzyła na Joke, nie zdając sobie

sprawy, że jej szczerą twarz wyrażała wszystkie targające jej sercem uczucia.

- Tak, to prawda - powiedziała Joke dziwnie pośpym tonem i zmieniała temat: - Chodź, poznasz resztę naszej rodziny. Rozmawiałaś już z naszą babcią?

Kilka minut później ponad dwadzieścia osób zasiadło do kolacji. Mimo że rozsunięto olbrzymi stół, w jadalni nadal było sporo miejsca. Emmy posadzono między jednym ze szwagrów Ruerda a jowialnym jegomościem, starym przyjacielem rodziny. Po drugiej stronie stołu widziała swych rodziców, którzy w doskonałych humorach zabawiali towarzystwo.

Gospodarz siedział u szczytu stołu; po jednej stronie miał Anneliese, po drugiej swą babkę. Emmy szybko odwróciła od niego wzrok i przyglądała się pięknej i wytwornej dekoracji. Koronkowy obrus, lśniące szkło, wypolerowane srebro... Pośrodku leżał ogromny stroik z ostrokrzewu, gwiazdy betlejemskiej oraz bluszczu, po bokach zaś stały świece w srebrnych kandelabrach. Dania, jakie podano, dorównywały wspaniałością zastawie. Zupa szczawiowa, sola z rusztu w sosie musztardowym ozdobiona bordiurą z brukselki, szpinaku i kasztanów, a na koniec, oczywiście, desery.

Emmy, delektując się ciastem z bitą śmietaną, a zaraz potem sufletem mediolańskim, przypomniała sobie chleb z dżemem, którym niedawno się żywiła. Gdy przypadkowo skrzyżowała spojrzenie z profesorem, na jej policzki wypłynął rumieniec. Czy mógł odgadnąć jej myśli? Czy w ogóle potrafił myśleć o czymkolwiek innym prócz siedzącej u jego boku Anneliese?

Jedząc ciasto, zauważyła, że Anneliese bawi się kawałkiem lodu w szklance. Nic dziwnego, że była taka szczupła... Właściwie nie tyle szczupła, co koścista, pomyślała Emmy. I nawet jej wspaniała czerwona sukienka, nie zdołała ukryć tego, że w ogóle nie posiadała biustu. Emmy z radością pomyślała, że

jej własnemu trudno było cokolwiek zarzucić. Szkoda tylko, że musiała stale nosić tę samą brązową sukienkę. Ale profesor i tak na nią nic patrzył. Właściwie mogła na siebie włożyć worek na kartofle...

Po kolacji goście udali się do salonu. Emmy usiadła obok matki.

Pani Foster naprawdę bawiła się znakomicie.

- Tu jest cudownie, Emmy - cieszyła się szczerze. - Gdy pomyślę, że moglibyśmy teraz siedzieć otoczeni cudzymi meblami! Żałuję tylko, że nic przywieźliśmy prezentu dla Ruerda.

- Nie było już czasu, mamó. Ale wyślemy mu coś po powrocie do domu. Czy wspominał, jak długo tu zostaniemy?

- Powiedział ojcu, że musi wrócić do Anglii w drugi dzień świąt. Sądzę, że zabierze nas ze sobą. - Po chwili dodała: - Nie podoba mi się jego narzeczona. Nie będzie dla niego dobrą żoną.

Reszta wieczoru upłynęła równie przyjemnie. Około północy Anneliese oraz jej matka zaczęły się żegnać. Trzymając profesora pod rękę, Anneliese z uśmiechem na ustach przechodziła od jednej grupy gości do drugiej, przy Emmy jednak przystanęła tylko na chwilę.

- Przyjdę jutro - zakomunikowała. - Ruerd ma znakomitych służących, ale trzeba nad nimi czuwać. - I raz jeszcze powtórzyła: - Jakie to szczęście, że Ruerd zaproponował wam dach nad głową na święta, nieprawdaż? - Posłała obu paniom Foster wyniosły uśmiech i odeszła.

- Nie lubię jej - powiedziała pod nosem pani Foster.

- Jest piękna - powiedziała Emmy. - Będzie odpowiednią żoną dla Ruerda.

Powoli wszyscy zaczęli się rozjeżdżać do domów. Profesor, który w drugiej części salonu bawił ostatnich gości, podszedł na

chwilę do pani Foster. a potem wyraził nadzieję, że Emmy dobrze się bawi. Doskonały gospodarz.

Nazajutrz była Wigilia. Anneliese pojawiła się na lunchu w kaszmirowej sukni i jedwabnym żakiecie. Tym razem przyjechała sama i z wdziękiem odgrywała rolę przyszej pani domu. Rozkazywała Cokkerowi tak, jakby już była jego chlebobawczynią. Zmieniła układ gości przy stole, po czym udzieliła mu reprimendy.

Niestety, udało jej się także sprawić, że Emmy poczuła się jak uboga krewna.

- Wiesz, że niebawem przyjadą goście? - spytała mimochodem. - Nie masz nic odpowiedniejszego do włożenia?

- Nie mam - odparła Emmy lodowato. - Jeśli nie chcesz usiąść ze mną do stołu, powiedz o tym profesorowi. Jestem pewna, że nie będzie miał nic przeciw temu, bym z rodzicami zjadła w drugim pokoju. - I dodała wojowniczo: - Pójdę go poszukać.

- Nie, nie! - zawołała Anneliese gorączkowo. - Nie miałam tego na myśli. Wyglądasz całkiem ładnie i każdy wie...

- O czym każdy wie? - zainteresował się profesor, pojawiając się w drzwiach. Przeniósł zaintrygowany wzrok od jednej do drugiej.

- Proszę o to spytać Anneliese - powiedziała Emmy drewnianym głosem i wyszła z pokoju.

- Fosterowie są moimi gośćmi - pouczył Anneliese ostrym tonem. - Mam nadzieję, że o tym pamiętasz!

Pocałowała go w policzek.

- Drogi Ruerdzie, oczywiście, że pamiętam. Ale Emmy... nie czuje się tutaj dobrze... Nie przywykła do takiego życia. Przed chwilą powiedziała mi, że wołałaby zjeść z rodzicami oddzielnie. Przekonywałam ją, że wygląda całkiem ładnie i nie

powinna krępować się swym strojem... Każdy przecież wie, że nie miała czasu spakować odpowiednich ubrań, nieprawdaż? - Wzruszyła ramionami. - Zrobiłam, co mogłam, mój drogi. - A potem uśmiechnęła się i dodała: - Idę porozmawiać z twoimi siostrami. Zdążyłam zamienić z nimi zaledwie kilka słów.

Profesor stał przez chwilę głęboko zamyślony. Potem zaś przemierzył salon, gdzie goście pili drinki, i następny pokój, w poszukiwaniu Emmy. Odnalazł ją w oranżerii; stała przy kamiennym zlewie zapatrzona w przestrzeń. Cicho zamknął za sobą drzwi i oparł się o nie plecami.

- Posłuchaj, Emmy, naprawdę nie ma znaczenia, w co jesteś ubrana. Anneliese wspomniała, że wstydzisz się dołączyć do gości z tego powodu. Wiem, jak ważny jest strój dla kobiety, ale uwierz mi, najważniejsza jest osoba, która go nosi... Wszyscy bardzo cię lubią, Emmy. Polubili cię nawet tak bardzo, że Joke zamierza cię prosić, byś została z nią i pomogła jej przy dzieciach przez kilka dni, kiedy niania będzie na urlopie. Zastanowisz się nad tym? Ja muszę wyjechać do Anglii, a Rik do Szwajcarii na dziesięć dni. Joke byłaby zachwycona, gdybyś dotrzymała jej towarzystwa.

Emmy, która stała do niego tyłem, odwróciła się gwałtownie.

- Joke naprawdę by tego chciała? To świetny pomysł. Ale co z mamą i ojcem?

- Za dwa dni wyjeżdżam, więc zabiorę ich ze sobą. Myślę, że sprawa mebli w Littleton została już załatwiona. - Uśmiechnęła się przyjaźnie. - A zanim ty wrócisz, dom będzie urządzony.

- Zostanę, jeśli Joke naprawdę tego chce - powiedziała.

- Będzie zachwycona. A teraz chodźmy na lunch.

Podczas lunchu siedziała obok profesora, Rik po jej drugiej stronie, Hugo zaś naprzeciw. Śmiali się i rozmawiali, zapomniawszy więc o swoim ubraniu. Po południu, mimo chłodnego wiatru

i zachmurzonego nieba, poszła z Alemke i Joke oraz ich dziećmi na długi spacer do wioski.

- Wieczorem na pewno będzie padać śnieg - powiedziała Joke. - Wybierzesz się jutro do kościoła. Emmy? Idziemy całą rodziną i zabieramy wszystkich, którzy mają ochotę. Lunchjemy w południe, a wieczorem będzie prawdziwa uczta.

Po powrocie wypity ze wszystkimi herbatę przy kominku. Anneliese pełniła rolę gospodyni.

- Och, może jeszcze nie powinnam się tak rządzić? - zwróciła się z kokieterią do Joke. - Ale niezwykle się przywiązałam do tego domu, i czasami mam wrażenie, że już jestem żoną Ruerda.

Kilka osób spojrzało na nią ze zdumieniem, ale nikt się nie odezwał. Alemke szybko rozładowała napięcie, opowiadając o spacerze.

Ani profesora, ani państwa Fosterów nie było przy tej rozmowie. Niedługo potem Anneliese znów odezwała się władczym tonem:

- Już czas najwyższy, by Cokker przyniósł świeżą herbatę i kanapki!

Tym razem ciotka Beatrix, którą jak zwykle otaczała gromadka gości, nie wytrzymała.

- Nie musisz tego robić. Anneliese. Cokker z pewnością przyniesie wszystko w odpowiedniej porze. Oczywiście, rozumiem twe dobre intencje - ciągnęła chłodnym tonem - ale nie zapominaj, że jest tu wielu członków naszej rodziny i wszyscy znamy panujące u nas zwyczaje. -I dodała ostrzej: - Właściwie dlaczego nie towarzyszysz Ruerdowi? Gdzie on się podziewa?

- Och, jest teraz zajęty. Mówił, że wypije herbatę w gabinecie. Nigdy nie przeszkadzam mu w pracy - dodała ze sztucznym uśmiechem.

Ciotka Beatrix powiedziała coś po holendersku, czego Emmy

oczywiście nie zrozumiała. Sądząc jednak po minie Anneliese, musiała to być cierpka uwaga.

Właśnie w tym momencie pojawił się Cokker z tacą. Postawił przed ciotką Beatrix przykryte naczynie i zdjął pokrywkę, demonstrując gorące, posmarowane masłem grzanki. Potem stanął za krzesłem Emmy i przyciszonym tonem powiedział:

- Matka panią prosi, panienko.

Emmy powoli wstała.

- Proszę mi wybaczyć - zwróciła się do zgromadzonych.
- Mama mnie potrzebuje.

Gdy wyszła za Cokkerem do holu, ciotka Beatrix skomentowała:

- Podoba mi się ta dziewczyna. Ma doskonałe maniery.

Kamerdyner poprowadził Emmy pod drzwi gabinetu Ruerda i wpuścił ją do środka.

Profesor siedział za biurkiem, jej rodzice zaś w skórzanych fotelach po obu stronach kominka, w którym płonął wesoły ogień.

- Piłaś już herbatę, Ermentrudo? - spytał gospodarz, wskazując tacę z herbatą stojącą obok fotela, na którym siedziała pani Poster. - Może napijesz się z nami?

Emmy usiadła obok rodziców; starała się zachować spokój, ale serce tłukło jej się w piersi jak u przestraszonego królika. Powinna nauczyć się kontrolować swe uczucia. Och, dlaczego zakochała się w profesorze Mennolcie!

- Siostra Ruerda, Joke, chciałyby, byś została z nią po świętach przez kilka dni i pomogła jej przy dzieciach - podjęła pani Foster. - Sądzę, że to wspaniały pomysł, ale, oczywiście, decyzja należy do ciebie. Ruerd uważa, że potrzebne ci wakacje i zmiana otoczenia. W tym czasie moglibyśmy doprowadzić do ładu nasz dom.

Emmy usłyszała niemal prośbę w głosie matki. Och, zbyt

wielką wagę przywiązują do jej zdrowia! Ostatecznie był to tylko nieznaczny uraz głowy i czuła się już doskonale. Ale, niezależnie od lekarskich zaleceń Ruerda, miała ochotę pomóc Joke.

- Z przyjemnością zostanę i pomogę jej przy dzieciach - powiedziała opanowanym tonem.

- Wspaniale! - ucieszył się profesor. - Ermentruda będzie w dobrych rękach - zwrócił się do pani Poster. - Cokker i Tiele zaopiekują się nimi wszystkimi. Alemke zaraz po świętach wyjeżdża do domu, podobnie ciotka Beatrix i inni kuzyni. Cokkerowi będzie miło, że ktoś zostanie w domu. Myślę, że Joke posiedzi tu około dwóch tygodni. A ja ze swej strony dopilnuję, by Ermentruda wróciła bezpiecznie do Anglii.

Mówi tak, jakby mnie tu w ogóle nie było, zżymała się Emmy w duchu. Niewiele brakowało, by powiedziała to głośno. Profesor uśmiechnął się, jakby czytając w jej myślach. Odwzajemniła ten uśmiech, zapominając o chwilowej złości.

Kolacja wigilijna była niezwykle uroczysta. Emmy żałowała, że nie ma sukni odpowiedniej na tę okazję. Stanowczo miała dość brązowego aksamitu. Anneliese ubrana była we wspaniałą szyfon i złote koronki. Uśmiechnęła się do Emmy słodko, wchodząc do salonu. Ten uśmiech był wymowniejszy niż słowa.

Mimo wszystko Emmy bawiła się dobrze. Na kolację podano grzyby z czosnkiem, pieczonego bażanta z czerwoną kapustą i rozmaite, rozplływające się w ustach, desery. Ale najlepiej na poprawę nastroju wpływało wyśmienite czerwone wino.

Późnym wieczorem przyjechał po Anneliese jej ojciec, a po jej wyjściu nastrój jeszcze bardziej się poprawił.

- To był uroczy wieczór - powiedziała pani Foster, całując Emmy na dobranoc przed drzwiami jej pokoju. - Ruerd to ujmujący mężczyzna i wspaniały gospodarz. Zupełnie nie pojmuję

ję, co on takiego widzi w Anneliese... Zarozumiała kobieta, nic więcej.

- Jest piękna - powiedziała Emmy i pocałowała matkę na dobranoc.

Pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia rozpoczął się tradycyjnym wspólnym śniadaniem, po którym wszyscy wraz z dziećmi pojechali do kościoła. Emmy' z wielkim przejęciem słuchała nabożeństwa oraz melodyjnych kolęd, o dziwo, bardzo podobnych do angielskich. Profesor, który stał obok niej, miał dziś pogodną twarz i tryskał dobrym humorem.

Po powrocie z kościoła zjedzono lunch podany w formie szwedzkiego bufetu. Dzieci zachowywały się jak trusie, ponieważ zaraz po lunchu miało nastąpić wręczanie prezentów gwiazdkowych, które leżały cały czas pod wspaniale udekorowaną choinką w głównym holu. Uroczystość ta zgromadziła wszystkich gości i domowników. Przyszedł Cokker, Tiele, pokojówki i ogrodnik. Nie było tylko Anneliese.

- Przyjście dopiero wieczorem - szepnęła Joke do ucha Emmy. - I dodała z ironią: - Dzieci będą już w łóżkach, więc me zdążą jej zdenerwować.

Rozdawanie prezentów zajęło sporo czasu; było mnóstwo pisków i okrzyków radości, wybuchów śmiechu i serdecznych uścisków. Dzieci biegały od jednego do drugiego, pokazując prezenty. Był również prezent dla pani Foster - elegancka wizytowa torebka, a dla pana Fostera - pudełko cygar. Emmy dostała kaszmirową chustkę w kolorze jasnego, zimowego nieba. Gładząc ją, czuła delikatną, miękką materię. Za każdym razem, gdy ją włoży, będzie wspominać profesora...

Po podwieczorku dzieci, zmęczone już i kapryszące, zostały wysłane do łóżek. Niania również wyglądała na zmęczoną, Emmy więc natychmiast zaferowała swą pomoc.

- Naprawdę masz na to ochotę? - spytała życzliwie Joke.
 - Alemke boli głowa, ale ja zaraz przyjdę na górę powiedzieć dzieciom dobranoc.

- Tak, bardzo to lubię - powiedziała Emmy z uśmiechem i wyslizgnęła się z pokoju, by następną godzinę poświęcić dzieciom.

Gdy leżały już w łóżkach, wymknęła się po cichu z dziecięcego apartamentu. W holu zdała sobie sprawę, że wszyscy przebiegają się już do kolacji.

Okazało się jednak, że nie wszyscy. Obok niej jak spod ziemi wyrósł profesor.

Odwróciła głowę.

- Muszę się przebrać - powiedziała. - Dziękuję za chustkę, nigdy nie miałam kaszmirowej.

Nie odezwał się, tylko otoczył ją swymi potężnymi ramionami i pocałował.

Była tak bardzo zaskoczona, że odebrało jej mowę i tchu jej zabrakło. Pocałunek wcale nie miał przyjacielskiego charakteru. Trwał zbyt długo i był... namiętny. Odniosła wrażenie, że coś ją ożywiło od środka i doznała dziwnego uczucia, jakby mogła unieść się w powietrze, gdyby zechciała. Jeśli taki właśnie efekt wywoływały pocałunki, powinna ich za wszelką cenę unikać...

Wyrwała się z jego uścisku.

- Nie powinieneś... - Zająknęła się, onieśmielona. - Nie powinieneś mnie całować. Twojej narzeczonej to by się nie spodobało.

Przyglądał jej się z nieodgadzionym wyrazem twarzy.

- Ale tobie tak, Ermentrudo?

Skinęła głową.

- To nie w porządku - odparła i nie mogąc się powstrzymać, spytała: - Dlaczego to zrobiłeś?

- Moja droga Ermentrudo - odparł z tajemniczym uśmie-

chem - spójrz do góry. Jemioła, widzisz? Pocałunek pod jemiołą to tradycyjny obyczaj. Nawet między obcymi. W gruncie rzeczy przecież nic nas nie łączy, nieprawdaż? - Poklepał ją przyjacielsko po ramieniu. - Biegnij teraz na górę się przebrać. I nie spóźnij się na drinki.

Emmy nie mogła wydusić słowa. Gardło miała wypełnione łzami i czuła, jak gorący rumieniec wypełził jej na policzki. Bez słowa pobiegła na górę. On sobie ze mnie kpi, myślała w rozpaczy. On się śmieje...

. Ale profesorowi wcale nie było do śmiechu.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Emmy nie pozostało wiele czasu na toaletę. Zresztą, czy to miało jakieś znaczenie? Długo leżała w wannie, tak więc potem szybko wskoczyła w nieśmiertelną brązową sukienkę i tak mocno wyszczotkowała włosy, że w oczach zakręciły jej się łzy.

Zrobiła z siebie idiotkę! Profesor musiał się ubawić jej reakcją na pocałunek...

- Och, zachowałam się jak głupia nastolatka - powiedziała do swego odbicia w lustrze. - Znienawidziłabym go... gdybym go nie kochała.

Postanowiła, że przez cały wieczór będzie bardzo chłodna i da mu do zrozumienia, że ten pocałunek - pocałunek pod jemiola - nie ma żadnego znaczenia.

Państwo Fosterowie zeszli już na dół; podażyła za nimi i znalazła się w salonie w tym samym momencie, gdy Anneliese miała swe wielkie entree. Dziś ubrana była w taftową suknię w jasnoniebieskim kolorze - trochę zbyt dziecinny, pomyślała nie bez cienia złośliwości Emmy, idąc przywitać babcię Mennolt. Starsza pani większość dnia spędzała w swoim pokoju, dziś jednak dołączyła do rodziny; miała na sobie fioletową, aksamitną suknię ozdobioną kaszmirowym szalem spiętym pod szyją największą diamentową broszką, jaką Emmy kiedykolwiek widziała.

Po przywitaniu się z babcią Mennolt Emmy ukłoniła się grzecznie i chciała odejść, ale staruszka chwyciła ją za ramię.

- Zostań, dziecko. Tak rzadko cię widywałam. Z przyjemno-

ścią wspominam rozmowę z twymi rodzicami. Czy już jutro wyjeżdżają?

- Tak, proszę pani. Ja jeszcze zostanę kilka dni, żeby pomóc Joke przy dzieciach.

- Zostaniesz na Nowy Rok? W Holandii obchodzimy go bardzo uroczyście.

- Nie wiem - odparła niepewnie Emmy. - Chyba nic... „Czy to będzie uroczystość rodzinna?

- Tak, ale zbieramy się tylko na kolację. Dobrze się u nas bawisz?

- Dziękuję, bardzo dobrze.

Staruszka uśmiechnęła się filuternie.

- Muszę ci wyznać, moja droga, że wolę ciszę swego pokoju. Ale cóż, Boże Narodzenie jest raz w roku i trzeba się bawić! A więc dołącz teraz do pozostałych i baw się dobrze.

Wypite przed kolacją drinki sprawiły, że goście zasiedli do stołu w znakomitych humorach. Na kolację były tradycyjne potrawy: indyk, świąteczny pudding, paszteciki, krakersy, orzechy i porto.

- Oczywiście nie wszystkie holenderskie rodziny tak obchodzą święta - powiedział siedzący obok Emmy kuzyn Ruerda, nadgryzając drugi pasztecik. - To typowo angielskie potrawy, nieprawdaż? Ale, widzisz, w naszej rodzinie sporo było małżeństw z Angielkami. Dlatego przejęliśmy od was niektóre obyczaje. Czy zostaniesz z nami na Nowy Rok?

- Zostanę tylko na kilka dni, aż niania wróci z urlopu.

- My już jutro się rozjeżdżamy i wrócimy dopiero na Nowy Rok. Ale tylko na jedną noc. Jak widzisz, jesteśmy szczęśliwą rodziną i cieszymy się ze wspólnych spotkań. A ty masz rodzeństwo?

- Jestem jedynaczką. Ale też stanowimy szczęśliwą rodzinę.

- Dzieci cię bardzo lubią, Emmy.

- Z wzajemnością. - Uśmiechnęła się do niego i odwróciła głowę do starszego mężczyzny, siedzącego po jej lewej stronie.

Po kolacji towarzystwo przeszło do salonu. Emmy została porwana przez Joke i wciągnięta w wir fascynującej rozmowy, która pozwoliła jej na chwilę zapomnieć o brązowej sukience i o pocałunku na schodach.

W pewnym momencie nieoczekiwanie dołączyła do nich Anneliese. Dotknęła dłonią ramienia Emmy.

- Ruerd zawiadomił mnie, że zostajesz na jakiś czas w charakterze niani. Co za szczęście, Emmy, że tak łatwo znalazłaś pracę po krótkich wakacjach! Miejmy tylko nadzieję, że nic przyjdą ci do głowy jakieś pomysły nieodpowiednie przy twej pozycji...

Emmy z samozaparciem powtarzała sobie, że Anneliese jest narzeczoną profesora i przy odrobinie szczęścia już nigdy jej nie zobaczy. Ale pokusa, by odwzajemnić jej się pięknym za nadobne była zbyt silna.

Uśmiechnęła się lekko i zauważając, że Joke wprost wstrzymała oddech, powiedziała łagodnym tonem:

- Wydaje mi się, że niezależnie od pozycji lepiej jest pracować niż próżnować i trwonić pieniądze na niezbyt twarzowe toalety... - W tym miejscu urwała i rzuciła wymowne spojrzenie na płaską pierś swej rozmówczynie. - Jestem pewna, że zgodzisz się z moją opinią, Anneliese - dodała z najśłodszy uśmiechem, na jaki się mogła zdobyć.

Co się teraz stanie? - przemknęło jej przez myśl.

- Masz całkowitą rację, Emmy - przysłała jej w sukurs Joke.
- Pewna jestem, że Anneliese się z nami zgodzi.

- Tak, oczywiście... - powiedziała czerwona jak burak Anneliese. - Przepraszam, muszę porozmawiać z ciotką Beatrix...

- Masz na myśli naszą ciotkę Beatrix? - spytała Joke głosem, w którym słychać było lekką wymówkę.

Anneliese rzuciła jej ponure spojrzenie i odeszła bez słowa.

- Muszę poskromić swój język - powiedziała Joke i zachi-cotała. - Chyba nie będę najmilszą szwagierką. Alemke potrafi, być bardziej powściągliwa, choć dużo ją to kosztuje. - Wzięła Emmy za rękaw. - Chodź, porozmawiamy z babcią. Jutro rano wraca do Hagi. Wszyscy zresztą powoli wyjeżdżają. Ruerd ostatni, po lunchu. Zostaniemy tylko my z dziećmi...

Emmy prawie jej nie słuchała. Nadal trzęsa się ze złości, upokorzenia i obawy. Anneliese na pewno poskarży się narze- czonemu... Co powie na to Ruerd? Być może nigdy już się do niej nie odezwie...

Gdy Anneliese odjechała, a reszta gości zaczęła rozchodzić się do swych sypialni, nieoczekiwanie podszedł do niej.

- Mam nadzieję, że dobrze się bawiłaś, Ermentrudo - po- wiedział.

Och, jakże by pragnęła powiedzieć wszystko, co leżało jej na sercu, ale zamiast tego odparła uprzejmie, że spędziła wspa- niały wieczór.

- Cieszę się, Ermentrudo - skomentował. - Rano muszę po- jechać do Lejdy, ale jeszcze zobaczymy się, nim wyjadę do Londynu.

Po raz ostatni, pomyślała Emmy ponuro. Pocałowała ojca i matkę na dobranoc i poszła na górę.

Rano po śniadaniu goście zaczęli się rozjeżdżać. Panowało ogólne zamieszanie - żegnano się, wymieniano ostatnie plotki i wiadomości, ten i ów wracał po jakieś zapomniane rzeczy. Wreszcie wszyscy wyjechali, a chwilę po nich profesor, pozo- stawiając Emmy, jej rodziców oraz Joke z dziećmi.

Pani Foster kończyła pakowanie bagażu, jej mąż zaś zamknął się w bibliotece, by poczytać prasę. Joke z kolei musiała omó- wić z Tiele szereg gospodarskich spraw. Emmy więc ubrała

ciepło dzieci, owinęła wokół głowy chustę i wraz z psami wyszli na spacer do wioski.

W małym sklepiku kupiła dzieciom słodycze, a psy dostały po ciasteczku od starej pani Kamp; sprzedawczyni rozmawiała z dziećmi wesoło po holendersku, raz po raz spoglądając na Emmy. Emmy pomyślała, że rozmawiają o niej. Ale z pewnością pogawędka miała życzliwy charakter. Gdy starsza kobieta częstowała dzieci cukierkami ze stojącego na ladzie słoja, podała również cukierek Emmy. Smakował okropnie, ale zjadła go pełna samozaparcia.

- Dropsy *zoute* - wyjaśniła kobieta. - Prawda, że pyszne? Dla kogoś, kto lubi słodzoną sól, pomyślała Emmy.

Lunch podano wcześniej, ponieważ profesor musiał wyjechać o trzynastej. Przy stole był rozmowny, żartował z dziećmi, omawiał ostatnie wiadomości z panem Fosterem. Ale choć starał się wciągnąć również Emmy do rozmowy, sam niewiele miał jej do powiedzenia.

Już nigdy go nie zobaczę, myślała. Nic mogę tego znieść...

Rozchmurzyła się jednak, ponieważ przyszło jej do głowy, że za kilka dni Ruerd być może osobiście odwiedzi ją do Anglii. Tak przecież mogło się zdarzyć... I oby tak się stało!

Myśl ta podniosła ją na duchu. Pożegnała się z nim niemal swobodnie i podziękowała za uroczą gościnę.

- To były cudowne święta - powiedziała, podając mu dłoń.
- Tak, rzeczywiście.

Słowa te padły zbyt pospiesznie, zbyt radośnie, co aż nadto wyraźnie świadczyło, że poza dobrymi manierami, nic jej nie miał do zaoferowania.

Żegnając się z rodzicami, zauważyła, jak bardzo wypoczęli przez ostatnie kilka dni.

- Gdy wrócisz do domu, wszystko już będzie gotowe - zapewniła ją matka. - Jesteśmy tak wypoczęci, że w mig damy

sobie radę. Dbaj o siebie, kochanie. Ruerd mówi, że przyda ci się jeszcze trochę wypoczynku.

Następnego dnia pojechała wraz z Joke i dziećmi wzdłuż wybrzeża aż do miejscowości Alkmaar. Muzeum serów zimą było nieczynne, ale dzieciom i Emmy niezmiernie spodobał się zegar, z którego co godzina wyłaniały się mechaniczne figurki rozmaitych postaci, urocza katedra i malownicze stare domy na rynku. W przytulnej kafejce zjedli *erwtensoep* - zupę grochową tak gęstą, że można w niej było postawić łyżkę - oraz *roggebrood*. Dzieci starały się nauczyć Emmy kilku słów po holendersku i śmiały się potem do rozpuku, słuchając jej wysiłeków.

To był bardzo szczęśliwy dzień. Emmy zajęta wieloma sprawami, nie miała czasu rozmyślać o profesorze. Dopiero wieczorem, gdy położyła się do łóżka, natrętne myśli wróciły, jakby gnane niepowstrzymanym wiatrem.

Profesor powinien już dojechać do Londynu... Beaker zapewne dobrze się nim opiekuje. Oczywiście, na pewno zadzwonił do Anneliese... I będzie za nią tęsknił... Ale jak można tęsknić za tak antypatyczną osobą...? - myślała sennie.

Rano zadzwoniła jej matka. Mieli wspaniałą podróż; Ruerd podrzucił ich pod sam dom, a tam czekała ich wiadomość, że meble zostaną zabrane lada dzień.

- Wreszcie możemy zacząć się urządzać - powiedziała uradowana pani Foster. - Och, Ruerd jest naprawdę cudowny! Zostawił nam całe pudło przepysznych jedzenia i butelkę szampana. Takich ludzi nieczęsto się spotyka... Będzie nam go bardzo brakować. A przy okazji, kochanie, Ruerd przesyła ci pozdrowienia.

Puste, nic nie znaczące słowa, pomyślała gorzko Emmy.

Następnego dnia Emmy miała dzieci pod opieką, ponieważ Joke wybrała się do Hagi po zakupy i do fryzjera.

Ubrała dzieci ciepło i wyszli na spacer nad morze; psy wesoło podskakiwały wokół nich, a dzieci rzucały im patyki, biegały i krzyczały, podbiegały do wody i, nim fala powróciła, szybko stamtąd uciekały.

Emmy bawiła się tak samo jak dzieci; nic było wokół nikogo, kto mógłby ją usłyszeć, a rześkie powietrze było naprawdę podniecające.

' Wrócili do domu zmęczeni i głodni; zjedli lunch, a potem w pokoju dziecięcym grali w karty. Najmłodszy chłopiec siedział Emmy na kolanach, z głową na jej ramieniu.

Po podwieczorku, ponieważ Joke jeszcze nie wróciła, Emmy zaczęła szykować dzieci do snu. Gdy wykąpane i ubrane w szlafroki jadły kolację, wróciła ich matka.

- Musisz być wykończona - powiedziała do Emmy. - Nie zamierzałam być tak długo, ale, wyobraź sobie, spotkałam przyjaciół i poszliśmy na lunch i wspólne zakupy. Masz już dość, prawda?

- Spędziłam bardzo przyjemny dzień - odparła Emmy zgodnie z prawdą. - Mam nadzieję, że dzieci są również zadowolone.

- Jutro pojedziemy do Hagi i zjemy lunch z moimi rodzicami - oznajmiła Joke. - Nie byli z nami na święta, ponieważ wyjechali do Danii w odwiedziny do naszej owdowiałej ciotki. Przyjadą tu na Nowy Rok.

- Naprawdę chcesz, bym jutro z wami pojechała? - spytała Emmy. - Chętnie zostanę w domu. Przecież to spotkanie rodzinne, więc...

- Chcę, żebyś pojechała, jeśli, oczywiście, nie masz nic przeciw temu. - Joke uśmiechnęła się przyjaźnie. Zastanawiała się, czy powinna powiedzieć Emmy, że Ruerd opowiadał o niej rodzicom. Postanowiła jednak tego nie robić. Ostatecznie to była osobista sprawa Ruerda. W ich rodzinie nikt nie

wtrącał się do prywatnego życia pozostałych. Chociaż w tym szczególnym przypadku... Cóż, zarówno ona, jak i Alemke, chętnie by odwidły brata od tego niefortunnego małżeństwa z Anneliese.

To było dziwne narzeczeństwo... Nie mogły dopatrzeć się oznak miłości czy jakiegoś głębszego uczucia w zachowaniu Ruerda. Owszem, zwracał uwagę na jej potrzeby, starał się zapewnić wygodę i rozrywkę - ale to było wszystko. A poza tym, bardzo uważał, by podczas świąt nie przebywać sam na sam z Emmy... Joke wiedziała, że Ruerd nie złamie słowa danego Anneliese, na tyle znała swego brata. Ale jego zainteresowanie Emmy było więcej niż zwyczajne...

Rano pojechały do Hagi. Po drodze Emmy uczyła dzieci popularnych angielskich rymowanek, które śpiewały prawie przez całą drogę. Przestały dopiero, gdy Joke podjechała długą aleją pod jeden z domów i zatrzymała się przed masywnymi drzwiami.

- Hej, już jesteśmy! - zawołała radośnie.

Przywitała ich starsza, krępa kobieta.

- To jest Nynke - powiedziała Joke, Emmy zaś podała jej rękę, a dzieci uściskały ją i ucałowały serdecznie. - Nasza gospodyni. Jest z nami od niepamiętnych czasów.

Gospodyni poprowadziła całe towarzystwo przez hol, gdzie zdjęto płaszcze i kurtki, pod podwójne mahoniowe drzwi salonu.

Para starszych lud/j siedzących w długim, wąskim pokoju robiła imponujące wrażenie. Obydwoje rodzice profesora byli postawni, wysocy, o lekko siwiejących włosach. Ojciec nadal był przystojnym mężczyzną, ale matka miała twarz dość przeciętną, w której wyróżniały się jedynie niesamowicie niebieskie oczy.

Dzieci otoczyły dziadków wianuszkami, uważając jednak na

dobre maniery i odsunęły się cicho, gdy ich matka przedstawiała Emmy.

- To jest Emmy. - Joke położyła delikatnie dłoń na jej ramieniu. - Sprawiała mi ogromną przyjemność, zostając ze mną na kilka dni. Spędziła wraz z rodzicami święta w Huis Mennolt. Musiałabym zostać sama, ponieważ Rik wyjechał.

Emmy uściskała dłonie państwa Mennoltów i wymieniła konwencjonalne grzeczności. Rodzice profesora byli bezpośredni w obejściu i władali doskonałym angielskim. . .

Po kilku chwilach pani Mennolt odciągnęła Emmy na stronę i przy kawie i migdałowych ciasteczkach, poprosiła, by zechciała coś o sobie opowiedzieć.

- Ruerd dzwonił do nas i wspominał, że ma gości z Anglii - mówiła. - Dobrze się znacie, moja droga? - Gdy się uśmiechała, w jej niebieskich oczach pojawiały się figlarne iskierki.

Emmy zwięźle opisała swą znajomość z profesorem, nie zdając sobie oczywiście sprawy, że on już o wszystkim szczegółowo opowiedział rodzicom. Ale to, czego nie powiedział, przekonało jego matkę, że interesuje się Emmy w szczególny sposób.

Patrząc na przeciętną, ale pełną wdzięku twarz Emmy, podobną do jej własnej, pani Mennolt zapragnęła całym sercem, by syn zrezygnował z małżeństwa z Anneliese. Od dawna starała się ją polubić, ale to się nie udało. Piękna i zarozumiała narzeczona syna ze swej strony nie starała się zyskać sympatii przyszłej teściowej.

Natomiast Emmy podbiła serce matki Ruerda niemal od pierwszego wejrzenia. Joke już wcześniej powiedziała matce, że Emmy byłaby wspaniałą żoną dla Ruerda. Pani Mennolt podzieliła to zdanie. Dzieci ją lubiły, a to dla kochającej babki miało ogromne znaczenie. Nie potrafiła zapomnieć, jak pewnego dnia Anneliese wpadła we wściekłość, ponieważ najmłodsze

dziecko Joke dotknęło brudną rączką jej białej spódnicy. Wielka szkoda, że Ruerd tego nie widział... Piękna twarz jego narzeczonej, wykrzywiona złością, zrobiła się całkiem brzydka. A prócz tego, ta cicha i skromna dziewczyna wyglądała na kobietę, która potrafi zrozumieć Ruerda - mężczyznę na ogół skrytego w uczuciach.

Emmy została teraz przekazana w ręce gospodarza. Z początku bała się go - wyglądał jak starsza wersja profesora - ale wystarczyło kilka minut rozmowy o ogrodzie, psach i kotach, by całkowicie się odprężyła. Po chwili ojciec Ruerda zaproponował jej spacer do ogrodu.

- Nie mamy tu tak wspaniałego ogrodu jak w Huis Mennolt - powiedział - ale wystarczający dla nas i Maxa.

Wyszli przez werandę na taras, a potem do znajdującego się kilka schodków niżej ogrodu. Max, czarny labrador, oraz Solly i Tip biegały w poszukiwaniu wyimaginowanej zwierzyny, podczas gdy Emmy z panem Mennoltem spacerowali po ogrodowych alejkach.

Cały czas starszy pan bawił Emmy rozmową, głównie o swoim synu. W ciągu kwadransa dowiedziała się więcej o Ruerdzie niż przez cały czas znajomości z nim. Zamieniła się całą w słuch. Chłoneła każdy strzęp informacji, by zachować go na zawsze w pamięci.

Po powrocie do domu pomogła dzieciom umyć ręce i uczesać włosy. Łazienka miała staroświecki wystrój, podobnie jak inne wnętrza. Podobał jej się ten dom, choć pochodził z zupełnie innej epoki niż Huis Mennolt. Może z połowy dziewiętnastego wieku? Meble był solidne, zadbane. Biedermeier? Nie znała się na tym. Na ścianach wisiały portrety przodków, którym nie zdążyła się przyjrzeć, ponieważ musiała sprowadzić na dół rozbawione dzieciaki, które mówiły naraz i śmiały się, gdy próbowała zrozumieć, co mówią po holendersku.

W salonie poczęstowano ją sherry, a potem wszyscy udali się do jadalni na lunch.

Przy stole panowała swobodna, wesoła atmosfera. Rozmawiano o sprawach błahych, o świętach, o planach na Nowy Rok. Dziwne, pomyślała Emmy. ale nikt ani razu nie wymienił imienia Anneliese, która niebawem miała zostać członkiem rodziny.

- Spotkamy się wkrótce w Huis Mennolt - powiedziała Joke. - Zjemy razem kolację, a potem złożymy sobie noworoczne życzenia. Ruerd z pewnością wpadnie, choćby na dzień lub dwa.

Po lunchu znów przenieśli się do salonu; gdy dzieci zaczęły wykazywać oznaki zniecierpliwienia, Emmy posadziła je wokół stołu i zaproponowała grę w karty.

Pokój był przestronny; trzy osoby w drugim końcu mogły rozmawiać bez skrępowania. Ale jeśli nawet Emmy mogłaby ich słyszeć, nie zrozumiałaby ani słowa. Gdy była z nimi, dobre maniere wymagały, by rozmawiali po angielsku, ale teraz ich rozmowa dotyczyła osoby im niezwykle bliskiej - Ruerda.

Rodzina byłaby zachwycona, wiedząc, że Ruerd siedział w swoim gabinecie w St Luke za biurkiem, na którym piętrzyły się karty pacjentów i notatki - ale nic nie czytał, tylko myślał o Ermentrudzie.

Postanowił, że po powrocie do Holandii poprosi Anneliese, by zwolniła go z danego jej słowa. To była trudna decyzja i czekała go trudna rozmowa, ponieważ, choć nie kochał Anneliese - teraz uświadomił to sobie z całą jasnością - nie chciał postawić jej w kłopotliwej sytuacji towarzyskiej. Jednak poślubienie jej, gdy kochał Ermentrudę - nie wchodziło w grę. A jeśli Ermentruda go nie zechce...? Uśmiechnął się do siebie. Cóż, wówczas zostanie kawalerem do końca życia.

Będzie miał urocze domy w Holandii i w Chelsea, swoje psy i swoją pracę... Ale to wszystko nie da mu szczęścia...

Po podwieczorku Joke, Emmy i dzieci wrócili do Huis Menolt. Wieczorem zrobiło się bardzo zimno.

- W nocy prawdopodobnie spadnie śnieg - powiedziała Joke. - Jeździsz na łyżwach, Emmy?

- Jeździłam tylko na wrotkach, gdy byłam mała. W Anglii rzadko mamy śnieg.

- Możemy się trochę pouczyć - zaproponowała Joke. - Niania nie wróci jeszcze przez kilka dni. Jej matka zachorowała na gripę. Możesz zostać ze mną trochę dłużej?

Skinęła głową. Miejsce pobytu nie miało dla niej znaczenia, jeśli nie było tam profesora.

- Miałaś wieści od matki? - spytała Joke.

- Tak. Wreszcie wszystko zaczęło się układać. Dziś mieli zabrać meble, a hydraulik już chyba skończył naprawę. Powinam tam być, żeby im pomóc...

- Ruerd uważał, że powinnaś jeszcze odpocząć - wtrąciła szybko Joke. - Matka chyba też była tego zdania.

- Tak sądzę.

Emmy posadziła sobie najmłodsze dziecko na kolanach, żeby Solly mógł oprzeć się o jej ramię. Tip siedział z przodu z najstarszym chłopcem. W samochodzie było trochę ciasno, ale panowała sympatyczna atmosfera; pachniało psami i cukierkami miętowymi, które jadły dzieci.

Następnego dnia Joke znów pojechała do Hagi.

- Cokker się wami zaopiekuje - powiedziała do Emmy. - Jeśli chcesz, możesz zabrać dzieci na spacer. Och, już są podsekcytowane zbliżającym się Nowym Rokiem! Jutro cała rodzina zjedzie na lunch. Ruerd dzwonił i powiedział, że przyjedzie

dopiero wieczorem. Mam nadzieję, że zostanie kilka dni. Gdy będzie wracać, zabierze cię do Anglii. Czy to ci odpowiada?

- Joke patrzyła z zainteresowaniem w twarz Emmy. - Czy za bardzo nie zmęczyłam cię dziećmi? - dodała.

- Cieszyłam się każdą spędzoną tutaj minutą - odparła szczerze Emmy. - Lubię twoje dzieci, ten dom, morze... Wszyscy byliście dla mnie i moich rodziców niezwykle mili.

- Musisz nas znów odwiedzić - powiedziała Joke, bacznie obserwując reakcję Emmy.

- Przypuszczam, że będę pracować, ale miło, że mnie zaprosiłaś.

- Rued może przywieźć cię w każdej chwili, prawda?

- Nie przypuszczam, byśmy się widywali... To znaczy, on pracuje w Londynie, a ja będę mieszkać w Dorset.

- Mówisz o tym z żalem...? - indagowała Joke.

Emmy pochyliła się nad sukienką, którą reperowała dla jednej z dziewczynek.

- Masz rację... - znów się zająknęła. - Profesor tak wiele mi pomagał... Zawsze, gdy miałam jakieś problemy, był w pobliżu. Rozumiesz, co mam na myśli. Jestem mu bardzo zobowiązana. ..

- Bywają dziwne zbiegi okoliczności, nieprawdaż? - wtrąciła beztrąsko Joke. - Niektórzy ludzie nazywają je przeznaczeniem. No cóż. muszę już jechać. Jeśli będziesz czegokolwiek potrzebować, poproś Cokkera. Postaram się wrócić na podwieczorek, ale drogi mogą być zatłoczone, więc mogę się nieco spóźnić.

Dzień minął Emmy przyjemnie na zabawie z dziećmi. Poszli na spacer nad morze, gdzie urządzili wyścigi, śmiejąc się i krzycząc niemiłosiernie. Po powrocie do domu zjedli gorącą zupę. krokiety, a na deser *poffenjes* - maleńkie placuszki z cukrem.

Dwójkę maluchów Emmy położyła spać, starsi zaś poszli grać w grę planszową w pokoju bilardowym.

Emmy miała teraz chwilę czasu dla siebie; wróciła do salonu i zaczęła wolno przechadzać się od portretu do portretu, a potem oglądać zawartość stojących po obu stronach kominka serwanek. Właśnie podziwiała piękną figurkę z miśnieńskiej porcelany, gdy w salonie pojawił się Cokker.

- Przyjechała panna van Moule - zakomunikował. - Powiedziałem jej, że panienka jest zajęta, ale ona chce się z panią zobaczyć....

- Ze mną? - zdziwiła się Emmy. - Ale w jakiej sprawie? Myślę jednak, że muszę ją przyjąć. Jeśli dzieci będą czegoś potrzebować, czy mógłbyś poprosić Tiele, by się nimi zajęła?

- Oczywiście, proszę pani. Jeśli będę potrzebny, proszę zadzwonić.

- Dziękuję, Cokker.

Anneliese weszła do pokoju z pewnością osoby, która wie, że świetnie wygląda. Rzeczywiście prezentowała się doskonale w jasnoniebieskim wełnianym płaszczu i wysokim kapeluszu. Rzuciła niedbale płaszcz na krzesło, to samo zrobiła z rękawiczkami oraz torebką i usiadła na fotelu.

- Nadal tu jesteś, Ermentrudo? - Właściwie nie było to pytanie, tylko stwierdzenie faktu. - Nie rezygnujesz tak łatwo - dodała z przekąsem. - Ale próżne twe wysiłki. Ruerd musi być już tobą okropnie zmęczony. Tak to już bywa, gdy zrobi się dobry uczynek, potem trzeba go bez końca powtarzać. Miałaś wspaniałe wakacje, nieprawdaż? - rzuciła i nie czekając na odpowiedź, ciągnęła: - Zamierza odwiedzić cię do Anglii zaraz po Nowym Roku. Przyjedzie tu na Sylwestra, musimy omówić szczegóły ślubu i wesela. Wiesz, że pobieramy się w styczniu? - Spojrzała Ermentrudzie w twarz. - Widzę, że nic nie wiedziałaś. Być może myślał, że ja cię o tym zawiadomię. Mnie jest

łatwiej, nieprawdaż? Dla niego to żenujące, przecież domyśla się, że jesteś w nim zakochana, choć nigdy cię do tego nie zachęcał. Cóż, osoby takie jak ty, które wiodą taki nudny żywot, często nadrabiają marzeniami.

Anneliese z uśmiechem triumfu oparła się o krzesło.

- Wydaje mi się, że powiedziałaś dużo głupstw - odrzekła Emmy, starając się opanować nerwy. - Czy po to tu przyjechałaś? Nie odkryłaś Ameryki. Doskonale wiem, że bierzecie ślub oraz to, że wyjeżdżam do Anglii, jak tylko niania wróci. Wiem także, że zachowałaś się wyjątkowo złośliwie i impertynencko.

Z pewną satysfakcją spostrzegła, że Anneliese spłonęła rumieńcem.

- Uważałam, że powinnyśmy wyjaśnić sobie pewne sprawy - odparła. - To, że się nie lubimy, to fakt. Ale takie dziewczyny jak ty mnie nie interesują. Wracaj lepiej do Anglii i znajdź tam sobie jakiegoś sprzedawcę albo urzędnika i wyjdź za niego za męża. - Popatrzyła złośliwie na Emmy. - Oczywiście wierzysz mi, że pobieramy się z Ruerdem?

Gdy Emmy uporczywie milczała, Anneliese wstała i podeszła do telefonu.

- Zadzwoń do Ruerda do domu - rzuciła przez ramię. - A jeśli go nie zastanę, zadzwoń do szpitala. - Zaczęła wykręcać numer. - I wiesz, co mu powiem? Powiem mu, że mi nic wierzysz i w głębi serca żywisz nadzieję, że on cię kocha. W dodatku powiem mu, że nadal zamierzasz mu się naprzykrzać, by zniszczyć jego szczęście.

- Nie musisz dzwonić - powiedziała cicho Emmy. - Być może w tym, co mówisz, jest trochę prawdy. Wrócę niebawem do Anglii i więcej nie zobaczę profesora.

Anneliese z powrotem zajęła miejsce w fotelu.

- A jutro, oczywiście, nic mu nie powiesz? - spytała. - Szkoda, że jeszcze tu będziesz, ale już nic się na to nie poradzi.

Na szczęście spodziewamy się wielu osób i Ruerd nie będzie zmuszony szczególnie się tobą zajmować.

- Nigdy się mną szczególnie nie zajmował - powiedziała Emmy. - Traktował mnie jak gościa. - Wyraźnie już zdenerwowana wstała. - Rozumiem, że chciałaś już wyjść - powiedziała twardo. - Zupełnie nie pojmuję, dlaczego traktujesz mnie jak rywalkę. Jesteś piękną kobietą i z pewnością będziesz odpowiednią żoną dla profesora. Mam nadzieję, że będziecie ze sobą szczęśliwi. .

Te słowa niemal utkwily jej w gardle. Anneliese wyglądała na zaskoczoną, ale ubrała się i bez słowa wyszła z pokoju. Chwilę później wszedł Cokker.

- Przygotowałem herbatę - powiedział. - Jestem pewien, że z przyjemnością się pani napije.

- Och, tak. - Zmusiła się do uśmiechu. - Z wielką chęcią. Wrócił z tacą i postawił ją obok fotela.

- Z tego, co słyszałem, Anglicy piją herbatę w każdym momencie, ale szczególnie w chwilach wielkiej radości albo rozpaczy - powiedział.

- Masz rację, Cokker.

Pijąc herbatę, z wysiłkiem powstrzymywała łzy. Usiłowała zapomnieć złośliwą przemowę Anneliese, ale nie potrafiła. Ostatecznie w tym, co ona mówiła, było ziarnko prawdy. Czy naprawdę tak ostentacyjnie okazywała uczucie Ruerdowi? Och, jakże głupio się zachowała, tak poważnie traktując pocałunek pod jemiołą! Ale miała wówczas wrażenie, że przeskoczyła między nimi jakaś iskierka... A może Anneliese miała rację? Może pozwalała sobie na marzenia na jawie?

Na myśl o ponownym spotkaniu z profesorem Emmy pobladła. Ale miała jeszcze cały dzień przed sobą, by odzyskać równowagę. A zaraz po Nowym Roku wyjedzie do Anglii...

Po podwieczorku zaczęła powoli przygotowywać dzieci do snu. Gdy w szlafrokach jadły kolację, wróciła Joke, ale dopiero przy kolacji, którą jadły we dwie, Emmy ośmieliła się spytać, kiedy wróci niania.

- Och, dzieci z pewnością cię zmęczyły - powiedziała Joke.

- Ależ nie - zaprzeczyła Emmy. - Ogromnie mi się tu podoba i lubię przebywać z dziećmi, jednak uważam, że powinienam wyjechać do domu, jak tylko niania wróci. Nie sądzę, że jestem niewdzięczna... to były naprawdę urocze wakacje, ale muszę zacząć szukać pracy...

Emmy mówiła z dziwnym ożywieniem, ale twarz jej miała jakiś smutny wyraz. Joke zachodziła w głowę dlaczego. I nagle sama Emmy odpowiedziała jej na to pytanie.

- Anneliese była tu dziś po południu... Powinnam ci powiedzieć wcześniej, ale jakoś nie było okazji... Zresztą i tak została tylko kilka minut.

- Ale po co przyjechała?

- Właściwie po nic. Tak sobie wpadła. Nie zostawiła dla ciebie żadnych wiadomości. Może chciała się dowiedzieć czegoś w związku z jutrzejszym dniem? Oczywiście, jutro będzie na pewno.

- Czy była uprzejma? Myślę, że ona cię nie lubi...

- Nie rozumiem dlaczego - odparła Emmy. - Ale starała się być grzeczna.

Mogłabym ci powiedzieć dlaczego, pomyślała Joke. Skradłaś serce Ruerda, a Anneliese dobrze wie, że jej się to nie uda...

- Niania dzwoniła, gdy kładłaś dzieci spać - powiedziała głośno. - Wraca pojutrze. Przykro mi będzie, gdy wyjedziesz, Emmy.

- Ja również nigdy nie zapomnę o tym domu i jego mieszkańcach, ani o tobie - odparła Emmy.

Nie miała czasu, by myśleć o sobie i własnej przyszłości. W całym domu panował ruch, szykowano się na przyjęcie gości. Tiele przygotowywała w kuchni stopy *oliebolljes* - rodzaj pączków, które tradycyjnie jedzono w Nowy Rok - pokojówki zaś biegały w tę i z powrotem, nakrywając stół i przygotowując gościnny pokój, na wypadek gdyby babcia Mennolt chciała odpocząć.

- Ona zawsze przyjeżdża - powiedziała Joke. - I ciotka Beatrix i inni kuzyni, których poznałaś w czasie świąt. No i oczywiście Anneliese.

Większość przyjechała już na lunch, choć goście zjeżdżali się jeszcze przez całe popołudnie. Anneliese, oczywiście, zjawiła się na lunchu, zachowując się tak jakby była panią tego domu. Była w towarzystwie swoich rodziców i młodego mężczyzny, którego przedstawiła jako starego przyjaciela.

- Straciliśmy się z oczu, ponieważ na wiele lat wyjechał z Holandii - wyjaśniła. - A kiedyś blisko się przyjaźniliśmy. - Uśmiechnęła się uroczo, on zaś obejmował ją w pasie, również się uśmiechając.

Anneliese mówiła po holendersku, ale Alemke wyszeptała tłumaczenie prosto do ucha Emmy.

- Jak ona ma czelność przywozić tu ze sobą obcego mężczyznę! - dodała. - A Ruerd pojawi się dopiero wieczorem... Och, przeczuwam, że coś się wydarzy...

Czasami przeczucia się spełniają. Profesor, dzięki temu, że pracował dwa razy ciężiej niż zwykle, mógł wcześniej wyjechać z Chelsea. Miał dobrą drogę do Dover, przekroczył kanał i w szybkim tempie przyjechał do Holandii.

Gdy zjechał przed dom, było już ciemno, w oknach paliły się światła. Otworzył boczne drzwi, szczęśliwy, że nareszcie jest w domu i zobaczy Emmy. Szedł wąskim, krętym korytarzem

znajdującym się na tyłach głównego holu. Raptem przystanął przed na wpół otwartymi drzwiami do małego, rzadko używanego saloniku; wydawało mu się, że słyszy głos Anneliese. Otworzył szerzej drzwi i wszedł do środka...

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W pokoju zobaczył Anneliese w objęciach nieznajomego mężczyzny. Mężczyzna całował ją namiętnie, ona zaś odwzajemniała pocałunek.

Profesor stał dłuższą chwilę w drzwiach, obserwując tę parę. Wreszcie nieznajomy musiał go kątem oka zauważyć, oderwał się bowiem od partnerki, a potem chwycił ją za rękę.

- Nie sądzę, bym miał przyjemność pana poznać - powiedział profesor, wchodząc do pokoju. - Anneliese, proszę, przedstaw mnie swemu przyjacielowi.

Anneliese zaniemówiła. Mężczyzna, chcąc ratować sytuację, wyciągnął rękę.

- Hubold Koppelar, stary przyjaciel Anneliese.

Profesor zignorował wyciągniętą dłoń. Popatrzył chłodnym wzrokiem na Koppelara.

- Jak stary? - spytał. - Z okresu, zanim Anneliese się ze mną zaręczyła?

- Oczywiście. - Anneliese odzyskała mowę. - Hubold wyjechał do Kanady. Myślałam, że nigdy nie wróci...

- I znalazłaś sobie zastępstwo? - Profesor zdjął okulary, potem znów je założył.

- A cóż innego mi pozostało? - Anneliese dumnie podniosła głowę. - Pragnęłam domu, pieniędzy, jak każda inna kobieta.

- Rozumiem, że teraz nie jestem już ci potrzebny? - spytał delikatnie. - Jeśli tego pragniesz, zwracam ci wolność.

- Ona tego pragnie - odezwał się Hubold, biorąc Anneliese

pod ramię. - Oczywiście, nie chcieliśmy załatwić tego w ten sposób. Wolelibyśmy jakoś delikatnie dać panu do zrozumienia...

- To miło z waszej strony. - Spojrzał na nich z wyraźną niechęcią. - Ale teraz, gdy sprawa została załatwiona, nie ma powodu, byśmy się spotykali. Żałuję, że nic mogę odprowadzić was do drzwi, ale nie chcę innym zepsuć sylwestrowej zabawy. Zostańcie, proszę, do północy i zachowujcie się normalnie. Chodźmy zabawiać gości!

Emmy, która właśnie wybierała się na górę, aby przebrać się w pogardzaną brązową sukienkę, była pierwszą osobą, która zobaczyła profesora wchodzącego do głównego holu z Anneliese u boku i towarzyszącym jej mężczyzną.

- Ruerd, świetnie, że już jesteś! - zawołała Joke. - Nie spodziewaliśmy się ciebie tak wcześnie.

- Nieoczekiwana niespodzianka - powiedział profesor, obserwując kątem oka, jak drobna postać Emmy znika za zakrętem schodów. Twarz jego przypominała żelazną maskę.

Rzucił kilka zdawkowych słów do Anneliese i poszedł przywitać się ze swymi rodzicami i babką. Kilka chwil później wszyscy poszli na górę, by zmienić stroje.

Emmy przebrała się szybko. Spojrzała bez zainteresowania na swe odbicie w lustrze, wpięła kilka dodatkowych szpilek w kok i poszła do apartamentu dziecięcego dopilnować, by dzieci położyły się do łóżek. W nagrodę za szybkie zaśnieście obiecano im, że zostaną obudzone przed północą i przywitają Nowy Rok razem z dorosłymi.

Całując dzieci na dobranoc, Emmy uporczywie myślała, co zrobić, by jak najszybciej stąd wyjechać.

Podróż w Nowy Rok była niemożliwa, ale jeśli jutro rano poprosi profesora, by zorganizował jej wyjazd następnego dnia,

musiałaby tu zostać tylko jeden dzień... W każdym razie postanowiła jutro wstać wcześniej i spakować bagaż.

Po raz pierwszy uśmiechnęło się do niej szczęście. W rogu salonu zauważyła Ooma Domusa, wdowca w średnim wieku, którego poznała bliżej podczas świąt. Gdy nawiązała z nim rozmowę, okazało się, że nazajutrz wieczorem zamierza wyjechać do Anglii.

- Prom wypływa o północy - poinformował. - A jutro drogi będą prawie puste. Nowy Rok to niemal święto narodowe.

- Jedzie pan samochodem? - spytała Emmy szybko.

- Tak. Zamierzam odwiedzić przyjaciół w Warwickshire.

- Czy mógłby pan zawieźć mnie do Dover? - poprosiła Emmy z ożywieniem. - Jutro wraca niania, chciałabym więc jak najszybciej wyjechać do Anglii.

Jeśli nawet Oom Domus był zdziwiony, nie dał tego po sobie poznać.

- Z przyjemnością, młoda damo - powiedział. - Mieszka pani w Dorset, nieprawdaż? Zawiozę panią, dokąd pani zechce.

- Bardzo dziękuję. Nie powiedziałam jeszcze o tym profesorowi, ale jestem pewna, że nie będzie miał nic przeciw temu.

Oom Domus obserwował Ruerda. Profesor jakby specjalnie starał się nie patrzeć na Emmy, tak samo zresztą jak ona. Pomyślał, że prawdopodobnie obydwójce mają coś przeciw temu, ale zachował swe myśli dla siebie.

- Wyjeżdżam jutro o siódmej wieczorem - powiedział swobodnie. - Mamy cały dzień na dobrą zabawę, moja droga.

Dla Emmy ten dzień będzie o wiele za długi... Pragnęła jak najprędzej stąd odjechać, znaleźć się jak najdalej od Ruerda, tego uroczego domu i od Anneliese...

Rozejrzała się wokół siebie. Ludzie śmieli się i rozmawiali. Nie zauważyła Ruerda, ale była Anneliese, piękna jak zawsze, spowita w zwoje szyfonu; śmiała się dużo i głośno, na policz-

kach miała rumieńce. Czyżby była podniecona spotkaniem z narzeczonym? A może wypiła zbyt dużo alkoholu?

Emmy wzięła z tacy drugi kieliszek sherry; gdyby piła wszystko, co jej oferowano, zabawa skończyłaby się dla niej o wiele za wcześnie. Nagle spostrzegła profesora szybko przemierzającego pokój. Błyskawicznie dopiła sherry i schroniła się w grupie młodych kuzynów, którzy powitali ją radośnie, z taką łatwością przechodząc na angielski, jakby zmieniali kapelusze.

Profesor udał chyba, że jej nie widzi, podszedł bowiem do wuja, a potem zaczął rozmawiać z Joke.

- Wyglądasz jak kot, który napił się śmietanki - powiedziała Joke. - Co się kryje za tą zadowoloną miną? - Gdy nic nie odpowiedział, nadal się uśmiechając, dodała: - Niania wraca jutro. Czy załatwiłeś Emmy podróż do domu?

- Jeszcze nie.

- Z niezrozumiałego powodu chce wyjechać możliwie najszybciej. O, idzie Cokker... Czy kolację już podano?

Przy rozsunętym stole zasiadło ponad dwadzieścia osób. Emmy wyznaczono miejsce pomiędzy dwoma sympatycznymi przyjaciółmi profesora, którzy dobrze znali Anglię i przez cały posiłek podtrzymywali ożywioną konwersację.

Emmy pospiesznie wypiła następną sherry i, lekko już zamroczone alkoholem, zabrała się za grzyby w czosnkowym sosie. Do homara wypiła kieliszek białego wina, kieliszek czerwonego do cynaderek w sosie beszamelowym z calvadosem i kolejny kieliszek słodkiego wina do ciast i deserów.

Kolacja upływała w radosnej atmosferze; goście prowadzili ożywioną konwersację. Ojciec profesora siedzący u szczytu stołu z posępną miną słuchał Anneliese, która perorowała coś z ożywieniem. Emmy doszła do wniosku, że naprawdę musiała za dużo wypić... Podobnie jak ja, przyznała w duchu.

Profesor siedział na drugim końcu stołu, pomiędzy matką

a ciotką Beatrix. Emmy zastanawiała się, dlaczego nie siedział obok Anneliese... Być może taki był zwyczaj przy tej okazji?

Kawę goście wypili przy stole; było sporo po jedenastej, gdy wrócili do salonu. Anneliese stała teraz obok Ruerda, jej przyjaciel zaś w drugim końcu salonu rozmawiał z mężem Joke. Emmy pomyślała, że profesor zapewne złoży jakieś oświadczenie na temat zbliżającego się ślubu. Ale nic takiego się nie stało.

Emmy tuż przed północą wyslizgnęła się z salonu i pobiegła na górę obudzić dzieci. Po chwili dołączyły do niej Joke i Alemke i razem sprowadziły dzieci na dół; stanęły w rzędzie pod ścianą, podniecone, z szeroko otwartymi oczami, trzymając w dłoniach szklanki z lemoniadą.

. Ktoś włączył radio, a Cokker chodził dookoła, nalewał wszystkim szampana. Gdy zegar wybił północ, przez salon przeszedł szmer podniecenia. A potem rozległy się zewsząd okrzyki: *Gelukkige Nieuwe Jaart*, a dzieci zapiszczały z radości na widok pierwszych fajerwerków, które wystrzelono za oknem.

Wszyscy ściskali się i całowali, wymieniając życzenia. Emmy, stojącej trochę na uboczu z najmłodszym dzieckiem na ramieniu, również składano życzenia. Nawet Anneliese przystanęła na chwilę. Ale nie po to, by złożyć życzenia.

- Jutro wrócisz do Anglii - syknęła.

Hubold Koppelar przeszedł obok Emmy bez słowa; nie był pewien, kim była. Może jedną z pokojówek...? - pomyślał. Albo boną do dziecka? Zapyta potem Anneliese. Mając na uwadze słowa profesora, starali się zachowywać dyskretnie i trzymać oddzielnie podczas przyjęcia.

W końcu również profesor do niej podszedł. Wyciągnęła rękę i powiedziała dość sztywno:

- Szczęśliwego Nowego Roku, profesorze!

Wziął jej dłoń i mocno ucisnął.

- Nie denerwuj się, Ermentrudo - powiedział ciepłym to-

nem. - Nie zamierzam cię pocałować. W każdym razie nie tutaj i nic teraz. - Gdy się uśmiechnął, poczuła nagły ucisk w sercu. - Porozmawiamy rano - dodał konspiracyjnym tonem. - A może jeszcze dziś, gdy dzieci pójdą do łóżek?

Emmy wpatrywała się w niego bezradnie i żadne słowa nie przychodziły jej na usta. Miała przy tym tak smutną minę, że zaczął się dopytywać, co się stało. W samą porę pojawiła się ciotka Beatrix i odciągnęła go na bok.

- Później porozmawiamy - powtórzył z dziwną czułością i odszedł.

Patrzyła, jak jego potężne plecy nikną wśród tłumu gości. Postępował delikatnie, dając jej do zrozumienia, że zamierza ignorować tę żenującą dla nich obojga sytuację. Na myśl o tym znów krew uderzyła jej do głowy.

Z ulgą wymknęła się z dziećmi na górę. Nikomu nie będzie jej brakować. Gdy utuliła dzieci do snu, poszła do swego pokoju, rozebrała się i położyła do łóżka. Leżała z otwartymi oczami jeszcze długo po tym, jak dom ogarnęła cisza.

Gdy rano zeszła na śniadanie, nikogo nie spotkała. Cokker podał jej kawę i grzanki, ale ich nie zjadła. Chciała jak najszybciej zobaczyć się z profesorem i powiadomić go, że wyjeżdża do Anglii z Oomcem Domusem. Z pewnością odechnie z ulgą. To było szczęśliwe rozwiązanie niezręcznej sytuacji. Anneliese wreszcie postawi na swoim... Wczoraj Emmy już jej nie widziała. Przypuszczała, że narzeczona profesora spędziła tu noc i prawdopodobnie zostanie na czas jego pobytu.

Emmy podniosła się od stołu i podeszła do okna. Ruerd wraz z Tipem i Solly zbliżali się do domu. Wracali ze spaceru nad morze. Jeśli będzie okazja, pójdzie jeszcze raz na spacer po to tylko, aby popatrzeć na wzburzone morze, a potem przejdzie się

jeszcze ścieżką wśród wydm. Stamtąd można było zobaczyć dom. Ten widok chciała zapamiętać na zawsze.

Nim profesor dotarł do domu, Emmy wróciła do siebie na górę. Na podeście spotkała Joke, która poinformowała ją, że wyjeżdżają po południu, podobnie jak Alemke, jej mąż i dzieci.

- Reszta gości wyjedzie jeszcze przed lunchem - mówiła.
 - Tylko rodzice zostaną na lunch. Ale nawet ciotka Beatrix i babcia wyjadą z innymi.

Gdy po śniadaniu rzeczywiście dom opustoszał, Emmy zaproponowała, że chętnie zabierze dzieci na pożegnalny spacer nad morze.

- Naprawdę? - ucieszyła się Joke. - W tym czasie spakuję rzeczy. Och, dzieci cię bardzo polubiły, Emmy. Z pewnością będą za tobą tęsknić.

Ruerd Mennolt rozmawiał w gabinecie ze swym ojcem, gdy Emmy chyłkiem wychodziła na spacer. Miała nadzieję, że świeże powietrze pozwoli jej zebrać myśli i odwagę przed ważną z nim rozmową.

Gdy godzinę później, zabłoceni, wrócili do domu i podeszli do bocznych drzwi, otworzył je sam gospodarz. Było za późno na ucieczkę.

Profesor szepnął coś do dzieci, które w jednej chwili zniknęły w holu. Emmy starała się niepostrzeżenie prześlizgnąć obok niego.

- Muszę pomóc przy dzieciach - zaczęła niepewnie, ale zaraz poczuła wstyd z powodu swego tchórzostwa i powiedziała:
 - Właściwie chciałam się z tobą zobaczyć... To znaczy, chciałam powiedzieć, że wracam dziś do Anglii, jeśli nie masz nic przeciw temu. Oom Domus obiecał, że zabierze mnie ze sobą.
 - Profesor milczał, więc dodała: - Spędziłam wspaniałe święta. Wszyscy byli tu dla mnie niezwykle mili. Jestem ogromnie wdzięczna, ale czas już na mnie.

Popatrzył na nią dziwnie, po czym odwrócił wzrok.

- Zostań jeszcze kilka dni, Ermentrudo - przemówił. - Zabiorę cię ze sobą, gdy będę wracać.

- Chciałabym wyjechać dzisiaj - powtórzyła. - Oom Domus właśnie jedzie do Anglii. To się dobrze składa, nieprawdaż?

- Nie chcesz zostać? - spytał z nutą ponurej obojętności.

- Musimy przecież porozmawiać...

- Chciałabym wyjechać tak szybko, jak to możliwe.

- Oczywiście, jedź, jeśli chcesz. - Odsunął się nieco na bok.

- Nie będę cię zatrzymywać.

Prześlizgnęła się obok niego, ale na dźwięk jego głosu stanęła.

- Unikasz mnie, Ermentrudo... Masz jakiś powód?

- Tak. Ale nie chcę o tym mówić. Z powodów... osobistych.

Gdy nic nie odpowiedział, odeszła. Rozmowa nie przyniosła oczekiwanej ulgi. Spodziewała się, że wyrazi uprzejmy żal z powodu jej wyjazdu. Ale w głosie profesora wyczuła obojętność - jakby nie miało to dla niego żadnego znaczenia. Być może jej wyjazd naprawdę nie miał żadnego znaczenia... Tak samo jak pocałunek pod jemiolą... Pocałunek, który dla niej będzie najśłodszym wspomnieniem.

Usiadła na łóżku w swoim pokoju, żeby spokojnie wszystko przemyśleć. Postanowiła nie nawiązywać już do tego tematu. Lepiej zostawić sprawy ich własnemu biegowi.

Wstała i podeszła do lustra. Lekko przeczesła włosy, z przerażeniem patrząc na swą pobladłą, wyczerpaną twarz.

Schodziła na lunch pełna lęku - jak się niebawem okazało bezpodstawnego.

Profesor z przyjacielską swobodą zaproponował jej sherry, a podczas lunchu podtrzymywał lekką konwersację, ani razu nie nawiązując do tematu jej wyjazdu. Sprawiał wrażenie, jakby go to wcale nie obchodziło.

Pod koniec lunchu wycofała się pod pretekstem pakowania. Jeśli pozostałaby w salonie, wszyscy musieliby rozmawiać po angielsku, a przecież o swych rodzinnych sprawach mieli prawo rozmawiać, w swym ojczystym języku. Była zdziwiona, że Anneliese nie siedziała przy stole. Może później Ruerd wybierał się do niej z wizytą?

Oczywiście, wszystko już miała spakowane. Usiadła więc przy oknie i patrzyła smutnym wzrokiem na ogród i znajdujące się w oddali morze. Za kilka godzin zrobi się ciemno, ale jeszcze teraz słońce z wysiłkiem przedzierało się przez chmury i jasnymi promieniami ocieplało gałęzie drzew. Ciemnoszara tafla morza miała pogodny, srebrzysty połysk, ale wiatr już się wzmagął, a na horyzoncie zbierały się groźne chmury.

Gdy odchodziła od okna, zauważyła profesora idącego z psami na spacer w kierunku wydm. Miał gołą głowę, ale był w kożuchu, który nadawał jego sylwetce jeszcze potężniejszy wygląd.

Chwilę go obserwowwała, ale potem, pod wpływem impulsu, narzuciła płaszcz, zawiązała chustkę i zbiegła na dół. Wiatr odbierał jej dech, gdy pospiesznie biegła przez ogród. Chciała dogonić Ruerda, póki jeszcze starczało jej odwagi. Doszła do wniosku, że powinien poznać prawdę. Nad brzegiem wzburzonego morza łatwiej będzie jej to wyznać.

Gdy wreszcie dotarła na plażę, profesor stał nad brzegiem morza, obserwując fale rozlewające się na piasku.

Słońce schowało się za chmurami, gdy zbliżyła się doń bezszelestnie i stanęła obok. Dotknęła ręką jego rękawa.

Odwrocił głowę i spojrzął na nią jakby przestraszony. Zauważyła, że twarz miał bardzo ponurą i zmęczoną. Przez chwilę nie mogła znaleźć słów.

- Nie powinieneś wychodzić w taką pogodę z gołą głową - przemówiła wreszcie. I od razu dodała w przypływie nagłej

odwagi: - Nie mogę wyjechać, nie mówiąc dlaczego, Ruerdzie... Nie zamierzałam się tak spieszyć... Anneliese prosiła, bym ci nic nie mówiła, ale postaram się potem jej to wyjaśnić... Otóż, wyjeżdżam, ponieważ jestem w tobie zakochana. Domyślasz się tego, prawda? Tak mi powiedziała Anneliese. Przykro mi, że tak się stało. Och, nie przypuszczałam, że to widać. Postawiłam cię w niezręcznej sytuacji... - Oderwała na chwilę od niego wzrok. - Rozumiesz, że musiałam ci powiedzieć? Ale teraz, już po wszystkim, możemy o tym zapomnieć. Byłeś dla mnie bardzo miły. Więcej niż miły... - Z trudem przełknęła ślinę. - Jestem pewna, że będziesz szczęśliwy z Anneliese.

Nie mogłaby nic więcej powiedzieć, nawet jeśli by chciała. Otoczona jego potężnym ramieniem tak mocno, że ledwie mogła oddychać, usłyszała jego głos huczący wśród wiatru i szumu fal.

- Miły? Moja droga, wcale nie byłem miły! Zakochałem się w tobie od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałem i spędzałem długie godziny, wynajdując różne możliwości zobaczenia się z tobą. I dręczyła mnie świadomość obietnicy danej Anneliese. Nie chciałbym ponownie przez to przechodzić.

Pochylił głowę i pocałował ją. Pocałunek był bardziej namiętny niż ten pod jemiota i ogromnie satysfakcjonujący. Emmy jednak wymamrotała:

- Anneliese...?

- Anneliese już nie chce mnie poślubić. Zapomnij o niej, kochanie, i posłuchaj mnie. Weźmiemy ślub i będziemy żyć szczęśliwie. Wierzysz mi?

Emmy spojrzała uważnie na jego twarz, która nie była już ponura ani zmęczona. Malowała się teraz na niej miłość i oddanie.

- Tak, Ruerdzie. Och, tak! Ale co z Anneliese...?

Pocałował ją mocno.

- Porozmawiamy o tym później. Teraz chcę cię znów pocałować...

- Bardzo dobrze - zgodziła się Emmy. - Wcale mi to nie przeszkadza.

I stali tak we dwoje, pogrążeni we własnym świecie, ignorując wiatr i fale, i psy kręcące się wokół nich.

Raj, pomyślała uszczęśliwiona Emmy, to niekoniecznie słońce i błękit nieba... Wyciągnęła rękę, by objąć profesora za szyję.

Na drugim krańcu ogrodu, Oom Domus, który wyszedł na poszukiwanie Emmy, poprawił na nosie okulary i wyteżył wzrok. Potem szybkim krokiem zawrócił do domu. Czekąca go samotna podróż do Anglii, ale to przecież nie miało znaczenia...

Wpadł do domu, przynosząc dobre nowiny.